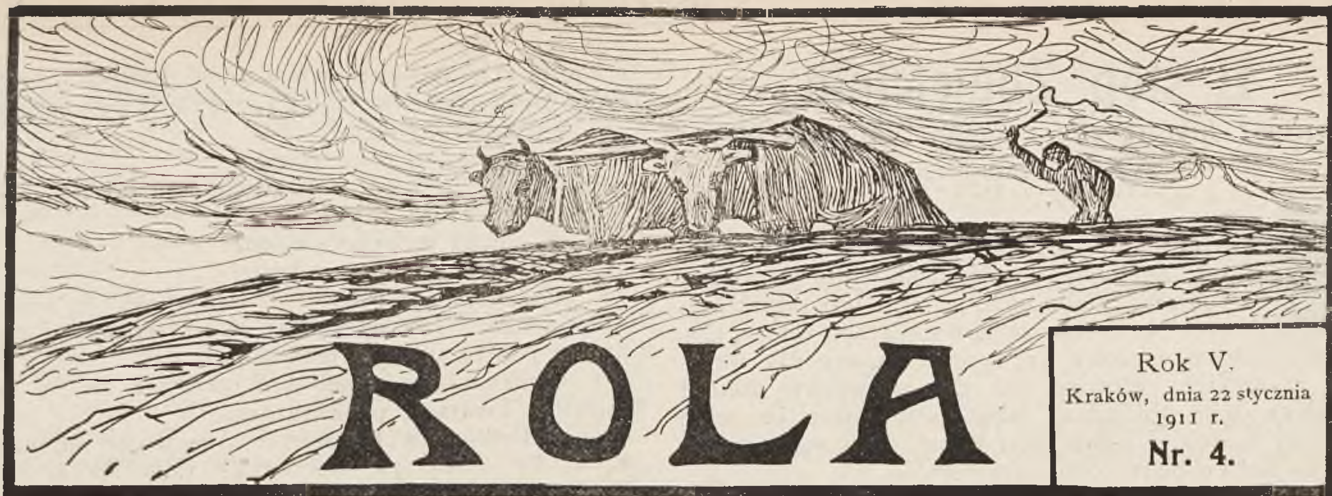


Rok V.
Kraków, dnia 22 stycznia 1911 r.
Nr. 4.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

ROK 1863.



Pół wieku temu na ziemiach polskich pod zaborem rosyjskim zaczęła się rozgrywać tragedya, do dziś dnia trwająca, mimo że ówczesne pokolenie. spoczęło już w grobie, a następnemu szron siwizny zaczyna bielić głowy. Sięgnijmy choć na krótką chwilę w te czasy, przywiedźmy na pamięć cierpienia i wysiłki naszych ojców i dziadów, ukochajmy ich bole za Ojczyznę, uczmy się z ich doświadczeń!

Żadna burza nie wybucha odrazu. Przed nią czuje się duszność, zbierają chmury ciemne; dopiero potem nadciąga huragan, który łamie, niszczy i pali wszystko.

Pół wieku temu, społeczeństwo polskie było przed burzą, która zbierała się od roku 1831. Wtedy to pradziadowie nasi, którzy pamiętali dawne wolne państwo, Polskę od morza do morza, wypowiedzieli wojnę carowi rosyjskiemu, złożyli go z tronu. Ale ten car zwyciężył, odebrał prawa państwowe Polsce, przemienił Polskę w prowincyę rosyjską.

Tak mijał rok za rokiem, aż do roku 1861. Coraz było duszniej i cięższej; niecierpliwsi zaczęli się burzyć. Wołano wtedy: »Chwyćmy za broń, i albo uwolnijmy się, albo zgińmy, bo tak żyć dłużej nie można!« Nadaremnie rozważniejsi ostrzegali, że gdy się niema własnego, ani skarbu, ani rządu, to nie można wygrać wojny z potężnym wrogiem! Do ludzi wzburzonych a cierpiących nie łatwo dochodzi głos rozwagi. Gorące uczucia ludzkie są mocniejsze od zimnego rozumu. To też w społeczeństwie polskiem w Królestwie brał coraz bardziej górę prąd gorący, a równocześnie rząd zaczął kłaść swą ciężką rękę policyjną na ciele nieszczęśliwej, drgającej cierpieniem Polski.

Wreszcie okrągło pięćdziesiąt lat temu zaczęło się burzyć na dobre; tłumione uczucia poczęły wybuchać, rozpoczęły się demonstracye patryotyczne w Warszawie i innych wielkich miastach. Różnymi sposobami, słowem i drukiem, podnosił się głos gnębionego narodu coraz donośniej bolesnym krzykiem: »Oddajcie nam nasze prawa! Oddajcie nam wolność, bez nich żyć nie możemy!«

Dwa lata całe, od 1861 do 1863, zbierały się te chmury, aż stanęły ponurą ławicą nad całym krajem. Władze rosyjskie z zaciekłością walczyły z tajnym polskim Rządem Narodowym. Nadaremnie usiłował uspokoić kraj a poskromić żandarmeryę rosyjską margrabia Wielopolski, mianowany naczelnikiem cywilnym kraju. Dnia 21 ogłosił Rząd Narodowy, że Polska podnosi bunt przeciwko władzy cara. Był to pierwszy grom i nawałnica rozszalała. Trwała ona cały rok...

Straszny to był rok. Tysiące ludzi młodych i szlachetnych porzuciło domy, rodziny, majątki, chroniło się po lasach i licho uzbrojone, licho odziane, nieraz głodne, prowadziło wojnę podjazdową z oddziałami rosyjskich wojsk. Ale tych wojsk napływało coraz więcej. Stawić im czoło, było niepodobieństwem. Oddziały powstańców malały, jedni padali w bitwach, składając życie Ojczyźnie, drudzy rozprószeni i ranni szukali schronienia za granicą, inni, najnieszczęśliwsi, dostawali się w ręce wroga i ginęli na szubienicach. Po miastach i wsiach zaczęły się straszne rządy. Sądy rosyjskie wieszały Polaków setkami a tysiącami wysyłały do więzień i na Sybir. Konfiskowano majątki. Burza szalała, niszczyła, paliła...

Tak stłumiono powstanie! Zwyciężyła siła nad sprawiedliwością, przemoc nad prawem. Zaczął się ucisk, który trwa do dziś dnia. Królestwu, Litwie i Rusi odebrano wszystkie dotychczasowe prawa. Polakom pozwolono tylko żyć. Na myśli i uczucia ich nałożono kaganiec. Nie zapomniano o religii katolickiej, tej tarczy obronnej polskiego narodu. Wydano szereg ograniczeń dla biskupów i księży, oderwano unitów od katolicyzmu. Trwa to od pół wieku do dziś dnia.

A przecież, cóż się okazało? Coś, co podziwem napełnia wrogów i obcych, a otuchą nas samych. Oto ten gnębiony naród w Królestwie nie upadł, ale się wzmaga w siły i dobro. Poczucie narodu nie osłabło, owszem rozszerzyło się, objęło przez te pół wieku także lud wiejski, który w roku 1863 zupełnie obojętnie przypatrywał się walce innych Polaków o wolność. Oświata wzrosła, dobrobyt także, postęp jest widoczny pomimo, że rząd rosyjski dokłada wszelkich starań, aby mu przeszkodzić. Coraz szersze kręgi zatacza przekonanie, że po burzy i chmurach zabłyśnie znowu jasne niebo a na niem ta gwiazda, do której cudnie wołał nasz największy poeta Adam Mickiewicz:

Witaj jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

3, Arrius i Ben-Hur.



Czwartego dnia »Astrea« — tak nazywał się statek Arriusa — żeglowała już po morzu Greckiem. Niebo było jasne, wiatr pomyślny. Arrius chciał dogonić flotę przed wyspą Cyterą, gdzie naznaczony był punkt zborny dla okrętów rzymskich; dlatego też całymi prawie dniami przebywał na pokładzie, dając przykładne baczenie na cały statek. Uwaga jego coraz częściej zwracała się na ławkę oznaczoną numerem 60.

— Czy znasz tego wioślarza? — zapytał pewnego dnia dozorcę, wskazując mu żydowskiego młodzieńca. — Niewolnik ten musi być Żydem?

— Szlachetny Quintus dobrze się domyśla.

— Bardzo jeszcze młody?

— Tak, lecz pomimo to najlepszy z moich wioślarzy.

— Jaki ma charakter?

— Posłuszny jest, i jest czyściejszy od swoich towarzyszów.

— Wart być Rzymianinem. Czy nie znasz jego przeszłości?

— Nic mi nie wiadomo.

— Trybun*) zamyślił się.

— Jeślibym był kiedy na pokładzie, gdy go będziesz luzował, przyślij go do mnie. Niech przyjdzie sam.

We dwie godziny potem, Arrius, siedząc na pokładzie, posłyszał poza sobą kroki, a obejrzawszy się, zobaczył zbliżający się ku niemu numer 60-ty.

— Dozorca nazwał cię szlachetnym Arriusem i oznajmił mi, że jest twoją wolą, abym tu przyszedł. Oto jestem.

W postawie, głosie i całem obejściu niewolnika znać było, iż zwykł był dawniej przebywać wśród ludzi szlachetnego rodu. Nie czuł się wcale zmieszanym pod badawczem okiem trybuna, a i ten, ulegając dziwnemu jakiemuś urokowi, mówił do niego raczej jak starszy do młodzieńca, niż jak pan do niewolnika.

— Dozorca powiedział mi, że jesteś jego najlepszym wioślarzem. Ile masz lat służby?

— Blisko trzy.

— Przy wiośle?

— Ani jednego dnia nie wypuściłem go z ręki.

— Praca ciężka. Mało ludzi wytrzyma w niej dłużej, jak rok, a ty jesteś prawie dzieckiem.

— Szlachetny Arrius zdaje się zapominać, że wola zastępuje częstokroć siłę.

— Znać zaraz, że jesteś Żydem.

— Istotnie, przodkowie moi byli Hebrajczykami na wiele lat przed założeniem Rzymu.

— Ze słów tych przebija uparta duma twojego plemienia.

— Nie jest ona nigdy tak wielką, jak w okowach.

— I cóż masz do niej za prawo?

— To, że jestem Żydem.

Arrius uśmiechnął się.

— Nie byłem w Jerozolimie — mówił — lecz słyszałem o jej książętach. Znałem nawet jednego. Zajmował się handlem i jeździł wiele po morzach; spotykaliśmy się na nich. Ten wart był być królem. Do jakiej klasy należysz?

— Ha! Pytasz o to niewolnika, lecz nie urodziłem się w okowach. Ojciec mój był książęciem Jerozolimy i jako kupiec jeździł po różnych morzach. Znany był i szanowany na dworze wielkiego Augusta.

— Nazwisko jego?

— Ithames z rodu Hurów.

Trybun podniósł ze zdziwieniem oczy.

— Syn Hura... ty?!

Po chwili milczenia dodał:

— Co cię tu sprowadziło?

Judah spuścił głowę, zdawało się, że braknie mu oddechu. Gdy opanował swe wzruszenie, rzekł, patrząc prosto w oczy trybunowi:

— Oskarżono mnie, żem targnął się na życie Valeriusa Gratusa, prokuratora.

— Ty! — zawołał Arrius, odsuwając się od niego. — Ty jesteś tym mordercą? Cały Rzym trząsł się od tego zuchwałego zamachu!

Patrzyli na siebie w milczeniu.

— Sądziłem, że rodzina Hurów zniknęła już z powierzchni ziemi — przemówił pierwszy Arrius.

Na wspomnienie o ukochanej rodzinie łzy zakręciły się w oczach młodzieńca.

— Matko, matko! droga Tirzo! Gdzieżeście w tej chwili! Trybunie, szlachetny trybunie! — błagał go, składając ręce jak do modlitwy — może co wiesz o nich, mów, powiedz wszystko!

Przysunął się bliżej do Arriusa, tak blisko, że ręce jego dotykały płaszcza patrycyusza.

— Trzy lata — mówił stłumionym od boleści głosem — trzy lata, o! trybunie, minęło już od tej pory, a każdy dzień był dla mnie długiem życiem, życiem rozpaczy, gorszem od śmierci. Oddychałem powietrzem zarazy, słyszałem ryk burzy na morzu i szczęk broni w bitwach; inni modlili się o ocalenie, ja — o śmierć, bo śmierć byłaby końcem męczarni. Ach! gdyby tylko umarły, gdyby nie spotkało ich nic gorszego!... Słyszę, jak mnie wołają nocami, widzę, jak idą ku mnie po wodzie!... I pomyśleć, że moja to ręka pogrążyła ją w przepaść. Ja...

— A więc przyznajesz się do winy?

Pytanie to wywołało w całej postawie młodzieńca raptowną zmianę. Wyprostował się dumnie, oczy jego zaiskrzyły się, żyły wezbrały na skroniach, zaciskał pięści.

— Słyszałeś — rzekł głosem, podobnym raczej do ostrego świstu — o Bogu naszych ojców, o wielkim Jehowie!... Na jego wszechpotęgę przysięgam ci, jestem niewinny!

Trybun zdawał się być wzruszony.

— O! szlachetny Rzymianinie — mówił dalej Ben-Hur — daj mi wiarę; do ciemności, która mnie zewsząd otacza, wpuść słaby promień światła.

Arrius, coraz bardziej wzburzony, mierzył szybkim krokiem pokład statku.

— Czy cię nie przesłuchiwano? — spytał, zatrzymując się nagle przed niewolnikiem.

— Nie.

Na twarzy trybuna odbiło się wielkie zdziwienie.

— Nie stawiono cię wobec świadków?

— Nie.

— Bez przesłuchania, bez świadków, któż cię sądził, kto wydał wyrok?

— Nie widziałem nikogo — mówił Ben Hur — nikt mnie o nic nie pytał. Związali mi ręce i nogi powrozem i wrzucili do podziemi fortecznych. Nazajutrz żołnierze zawiedli mnie na brzeg morza. Odtąd jestem galernikiem.

— Jakie mógłbyś złożyć dowody na stwierdzenie twojej niewinności?

— Byłem chłopięciem zamłodem na spiskowca. Nie znałem wcale Gratusa. Gdybym zamierzał go zabić, nie wybrałbym chwili tak nieodpowiedniej. Było to w biały dzień. Jechał na czele całego legio-

*) Wodzowie rzymscy nazywali się trybunami.

nu. W żadnym więc razie nie mogłem liczyć na ucieczkę. Cóż wreszcie mogło popchnąć mnie do tego zamachu? Wszak należałem do klasy najbardziej sprzyjającej Rzymowi. Ojciec mój odznaczył się w służbie cesarskiej i miał zasługi u dworu. Nie byłem szalonym. Przekładałem zawsze śmierć nad hańbę i wierzaj mi, dziś jeszcze wolałbym umrzeć, niż obracać wiosłem!

— Kto był przy tobie, gdy spadł pocisk?

— Byłem na dachu domu mojego ojca... jeszcze jeden dowód mej niewinności.... Przy moim boku była Tirza — dusza słodka, nie znająca co nienawiść. Oboje staliśmy oparci o balustradę, przypatrując się wchodzącemu do miasta legionowi. Sam nie wiem, jak cegła osunęła się z pod mojej ręki i upadła na głowę Gratusa. Myślałem, żem go zabił. Przerażenie moje było wielkie.

— Gdzie była twoja matka?

— W swoich komnatach na dole.

— Co się z nią stało?

Głuchy jęk wydobył się z piersi Ben-Hura.

— Nie wiem — rzekł — widziałem, jak ją wynosili... nic więcej nie wiem.

Arrius słuchał uważnie, jak sędzia obrony podsądnego. Był zbyt doświadczonym, aby się dać unieść pierwszemu wrażeniu. Brał pod zimną rozwagę każde słowo Ben-Hura.

Jeśli to była komedya, odegrywał ją po mistrzowsku; jeśli zaś prawda, jeśli istotnie był niewinnym, jakże na oślep wydawane były wyroki sądów! Prosty wypadek, bez żadnych zresztą następstw groźnych, został okupiony kosztem czci, mienia i najdroższych uczuć całej rodziny. Myśl o tej niedoli wzruszyła go.

Niedarmo podwładni nazywali Arriusa »dobrym trybunem«.

Stał teraz zamyślony, jakby wahając się, co uczynić. Władza jego na okręcie była nieograniczona. Jedno jego słowo było dostatecznem, aby wrócić wolność człowiekowi, w którego niewinność zaczynał wierzyć. Słowo to już miało wyjść z jego ust, lecz po rozwadze powiedział sobie, że nie było się co spieszyć, czyli raczej, że trzeba było pospieszać ku Cyterze i że pozbywać się najlepszego wioślarza byłoby szaleństwem.

Któż zresztą mógł wiedzieć, czy młodzieniec był istotnie księciem Hur; niewolnicy słyną jako kłamcy. Nie, trzeba się było wpierw przekonać, poznać jego charakter.

— Dowiedziałem się czego mi było potrzeba — rzekł ostro. — Możesz już wracać na swoje miejsce.

Hur skłonił się, spojrzał jeszcze raz w twarz swego pana; nie wyczytał w niej nadziei. Powoli skierował się ku wyjściu. Przy drzwiach odwrócił się raz jeszcze.

— Jeżeli kiedy będziesz o mnie myśleć, o! trybunie! zechciej pamiętać, że prosiłem cię tylko o wieści o mojej matce i siostrze — o nic więcej!

— Słuchaj, gdybym ci dał wolność — cobyś uczynił?

— Szlachetny Arrius drwi ze mnie — rzekł Juda drżącemi od wzruszenia ustami.

— Nie, na bogów, nie!

— Jeśli tak, chętnie dam odpowiedź. Oto przedewszystkiem póty nie zaznałbym spokoju, dopókiby matka moja i Tirza nie powróciły do ojczyzny i rodzinnego domu.

Wcale innej odpowiedzi spodziewał się widocznie Rzymianin; zdziwienie odmalowało się na jego twarzy. Po chwili pytał znowu:

— Lecz gdyby matka twoja i Tirza już nie żyły, cóż zrobiłbyś w takim razie?

Ben-Hur długi czas nie mógł zdobyć się na odpowiedź. Walczył z silnem jakiemś uczuciem, gdy je pokonał, zwrócił się do Arriusa.

— Trybunie, powiem ci prawdę. W przeddzień tego strasznego wypadku otrzymałem właśnie od matki pozwolenie być żołnierzem. Jestto jedyny zawód, którybym i dziś obrał, a ponieważ na całym świecie jedna jest tylko szkoła, gdzie można się nauczyć sztuki wojennej, poszedłbym do tej szkoły.

— Arena?*)

— Nie, rzymski obóz.

— Musiałbyś wpierw nauczyć się robić bronią.

Rzecz niesłychana! Arrius zapomniał się tak dalece, że dawał rady niewolnikowi! Natychmiast spostrzegł tę niewłaściwość i zmieniając nagle głos i obejście:

— Możesz odejść — rzekł dumnie. — Na słowach moich nie buduj żadnych nadziei. Może żartowałem tylko z ciebie. Albo... (tu się zadumał). Ha! jeżeli już chcesz z nich snuć wątek szalonych marzeń, wybieraj między chwałą gladyatora a służbą w obozie. W pierwszym z tych zawodów może na ciebie paść łaskawe oko cezara; w drugim niema dla ciebie odznaczeń. Nie jesteś Rzymianinem. Powiedziałem już com chciał ci powiedzieć. Odejdź.

Za chwilę Ben-Hur był już przy wiośle. Praca ta wydawała mu się igraszką teraz, gdy nadzieja, jak ptaszę, wleciała do jego serca.

— O Boże! — modlił się. — Jestem wiernym synem Izraela, któregoś tak ukochał. Zlituj się nademną, oswobódź! Niech prośba moja dojdzie przed Twój majestat!

4. Numer 60.

W zatoce Antemony, na wschód od Cytery, połączyła się cała flota. Przegląd jej zajął trybunowi cały dzień. Potem, na czele jej, popłynął w stronę Naxos, największej wyspy, sterczącej jak kamień przydrożny, pomiędzy wybrzeżami Grecyi i Azyi. Stąd mógł czuwać nad wszystkimi przepływającymi po morzu Śródziemnem okrętami i w razie ukazania się korsarzy w jednej chwili mógł na nich wyruszyć.

Gdy tak flota, we wzorowym porządku, zbliżała się ku górom wyspy, zasygnalizowano od północy galerę. Arrius podpłynął na jej spotkanie.

Był to statek handlowy, wiozący transport towarów z Byzancyum.**) Od jego komendanta trybun dowiedział się szczegółów, na których mu najbardziej zależało, że korsarze znajdują się blisko brzegów Grecyi.

Okręt trybuna skierował się ku północy, po uszykowaniu się, jak sprawna kawalerya, w kolumny, cała flota popłynęła za nim.

Wieści o rozbojach korsarskich doszły już były do uszu wyspiarzy, to też, przypatrując się białym żaglom, nabierali otuchy, wiedząc, że Rzym miał bronić tego, co dzierżył w potężnych swych dłoniach; w zamian za podatki, dawał spokój zawojowanym przez siebie narodom.

Trybun był nad wyraz zadowolony. Nietylko szczęście obdarzało go szybkiemi i pewnemi wieściami, lecz zapędziło jeszcze tych rabusiów na wody, na których czekała ich niewątpliwa zguba z jego ręki.

Przed nadejściem nocy, sternik zasygnalizował brzegi wyspy Eubei. Na dany znak cała flota stanęła, jak gdyby przykuta do miejsca. Arrius podzielił ją na dwa oddziały, po 50 okrętów; pierwszy miał płynąć ku południowej części kanału, między

*) Arena, miejsce środkowe cyrku, na którem popisywali się siłacze rzymscy i mocarze uzbrojeni, t. zw. gladyatorowie.

**) Dzisiejszy Konstantynopol.

wyspą a Grecyą, drugi zwrócił swe wiosła ku północnej.

Bez wątpienia każda z tych eskadr, wzięta oddzielnie, nie wyrównywała liczbą statkom korsarskim, miały jednak nad nimi przewagę, jaką daje karność nad nieokiełznaną śmiałością.

Za nadejściem nocy w powietrzu rozległ się zapach kadzideł.

— Trybun jest u ołtarza — pomyślał Ben Hur.— Czyżby się zanosiło na bitwę?

Przyjmował on już udział w niejednej; słyszał tylokrotnie zgrzyt jej i zgiełk nad swą głową, że dźwięk walki był mu znany. Wiedział, że u Greków również jak i u Rzymian, za wstęp niejako do boju służyły ofiary, składane na ołtarzach bogów.

Na całym okręcie zawrzał ruch; zapalono latarnie, znoszono na pokład pęki strzał, stosy włóczni, tarcz i mieczów; przygotowywano naczynia z olejem, pakuły, kłęby bawełny i inne łatwo zapalne materyały. Wreszcie Ben-Hur ujrzał trybuna w pełnej zbroi i w hełmie; nie wątpił już, że zbliża się chwila bitwy; ha! a z nią razem straszne upokorzenie dla dumnego syna Izraela.

Zwiastował mu je dźwięk kajdan. Niewolnik wiedział już, co to znaczy.

Do każdej ławy przytwierdzony był łańcuch, zakończony kajdanami. Przed bitwą dozorca okuwał w nie wioślarzy, aby im uniemożliwić bunt lub ucieczkę w razie przegranej.

I oto teraz z kluczem swym szedł od numeru do numeru. Zbliżający się zgrzyt oków oznajmiał Ben-Hurowi, że wkrótce przyjdzie kolej na niego, lecz jednocześnie przez głowę przemknęła mu myśl szalona.

Kto wie, może trybun uczyni dla niego wyjątek? A jeśli w tak ważnej chwili pomyśli o nim, będzie to znakiem nieomylnym, że biedny niewolnik może liczyć na łaskę swego pana.

Ben-Hur czekał w śmiertelnej trwodze.

Za każdem poruszeniem wiosła spoglądał na trybuna.

Siedział on teraz na swym tronie dumny, nieporuszony, zabierając się do spoczynku.

Brzęk kajdan stawał się coraz głośniejszy. Dowódca był już przy numerze 59. Ben-Hur, nie czekając rozkazu, położył wiosło i wyciągnął ręce.

W chwili tej jednak trybun się odwrócił i skinął na dozorcę. Młodzieniec słów jego nie słyszał, lecz po co? Łańcuch zawisł, jak przedtem, na haku; jak przedtem młotek począł wybijać takt, a jemu się zdało, że statek nurza się w promieniach niebiańskiego światła i że przygrywa mu muzyka nieziemska; nie wierzył, że jest tym samym, co przed chwilą człowiekiem.

Przeginając się wpół, począł robić wiosłem z takim zapałem i siłą, że rzemień rozciągał się, jakby miał pęknąć.

Statek mknął jak strzała. Trybun spał na swem kosztownem łożu, majtkowie i wioślarze na pokładzie.

Na Ben-Hura przychodziła raz i drugi kolej spoczynku, lecz nie mógł zmrużyć oka.

Nadzieja, unosząc młodzieńca na swych skrzydłach, wiodła go w objęcia rodziny, darzyła wolnością i sławą...

Ciemna noc zalegała jeszcze nad okrętem, gdy postawiony na straży majtek zbudził trybuna. Arrius wstał natychmiast, przywdział hełm, miecz i zbroję i kazał przywołać dowódcę załogi.

— Niech wszystko będzie w pogotowiu! — zawołał. — Korsarze się zbliżają!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gawędy o Różnych Sprawach.

Emigracya.

Któż z nas nie zna tego wyrazu, choć może nie każdy wie, że zaczerpnęliśmy go z łaciny (*emigro*, wychodzę), a co gorsza, nie każdy zna na tyle dzieje ojczyste, by wiedzieć, że emigracya odegrała wielką rolę w historyi polskiej dawniejszej.

Nie chodzi nam o ten ruch kolonizacyjny, który przez kilka wieków, za czasów państwa polskiego, posuwał tysiące i tysiące szlachty i włościan z krajów czysto polskich na wschód, na ziemie ruskie i sprawił, że te ziemie stały się napół naszemi.

Chcemy dziś mówić o wychodźtwie masowem poza granice ojczyzny, już po upadku Polski, będące wynikiem powstań orężnych, z których jednego obchodzimy dzisiaj chlubną acz smutną rocznicę.

W roku 1831, po ostatniej przegranej bitwie z rosyjskiem wojskiem kilkanaście tysięcy wojska polskiego, przypartego do granic Królestwa, musiało wkroczyć do Prus i do Galicyi. Ościenne państwa oczywiście nie mogły pozwolić na pobyt w swych granicach obcej armii, ale zachowały się po ludzku, godziwie, nawet Prusy, oczywiście całkiem inne przed 80 laty, niż dzisiaj. Nie więziły, nie prześladowały wynędzniałych wojowników, tylko odebrały im broń. W rozbrojonych szeregach zabrzmiało hasło: »Do Francyi idźmy!« i tam też zaczęły się ściągać tłumy polskich żołnierzy.

Gdy się ta wieść rozeszła, z Polski zaczęli wyjeżdżać także inni, którzy do wojska nie należeli. Postanowiono założyć we Francyi nową ojczyznę, wolną i niepodległą, chociaż bez ziemi, i czekać, aż w kraju pod rządem rosyjskim stosunki poprawią się i pozwolą wszystkim na gromadny powrót.

Powstała tedy istotnie we Francyi prawie nowa Polska. Mieli Polacy swój rząd, swoje szkoły, swoje gazety, księgarnie, ba, nawet powstały czysto polskie zakony. W Paryżu, nie w Polsce, mieszkali i działali wszyscy najznakomitsi Polacy, między którymi byli tacy jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, książę Adam Czartoryski, i Niemcewicz.

Działali, tam pracowali, budowali nową ojczyznę. Po trzydziestu latach, gdy zaczęła wymierać ta kolonia, przyszedł rok 1863. Znowu z kraju musiały uciekać tysiące powstańców, znowu napłynęła do Francyi wielka fala polska. Znowu tam osiadła.

Upływały dziesiątki lat i cóż się okazało? Oto już następne pokolenie stało się francuskiem! Nie pomogły zasady wszczepiane przez ojców i matki, nie pomogły szkoły, zwyciężył język i duch narodu obcego, dlatego tylko, że był w większości. Dzisiaj Francya chlubi się tysiącami znakomitych lub dzielnych ludzi, noszących nazwiska czysto polskie, ale nie umiejących po polsku ani słowa.

Tak się skończyły złudne marzenia o tem, że można na obcej ziemi budować nową Polskę!

Nie, nie można! Dziś już wiemy, że Polska może być tylko tu u nas, na tej naszej kochanej świętej ziemi. Gdy kogo ona wyżywić nie może, niech wyjeżdża, niech pracuje u obcych i zbiera pieniądze, ale niech zawsze pamięta o tem, że musi wrócić, że taki jest jego obowiązek, inaczej sprzeniewierzy się swemu narodowi, prochom swych ojców i dziadów. Niech jedzie nawet za morze ten, kto chce zdobyć lepszy kawałek chleba, lub czegoś się nauczyć, ale niech nie ulega żadnym pokusom. Choćby pozornie wydało mu się narazie lepiej między obcymi, z pewnością ciężką mu będzie ostatnia chwila życia, gdy pomyśli, że jego syn lub wnuk nie będzie już rozumiał tej mowy, w której on sam modlił się całe życie do Boga!

Historya leśnika.

Zmarły w 1867 r. wielkiej sławy malarz i rysownik polski, obok Jana Matejki najpiękniejsza chluba naszej sztuki narodowej — Artur Grottger — pozostawił nam trzy zbiory obrazów wykonanych kredką i ołówkiem. Są nimi: »Polonia«, »Wojna« i »Lituania«, t. j. Litwa. W obrazach swoich zatytułowanych »Lituania« oddał artysta sceny z powstania na Litwie w 1863 r., a oddał je z taką mocą, że wstrząsa się na ich widok dusza każdego Polaka. A dzieje to nie pojedyncze, ale jedne z wielu, z bardzo wielu.



Gdy w roku 1863 w Królestwie nakazano brankę czyli rekrutacyę, popisowi wyszli z Warszawy i rozpoczęli powstanie. Było to przedsięwzięcie niebaczne; podsunęła je beznadziejna rozpacz, uczucia rozgorączkowane, które nie bywają dobrymi doradcami. Wkrótce napełniły się lasy powstańcami, spieszyli oni ze wszech stron kraju, niosąc życie i mienie Ojczyźnie. Gdy im zwracano uwagę, że ich zamało jest, aby mogli zwyciężyć wroga, to odpowiadali:

— Mało nas jest, aby zwyciężyć, ale dosyć, aby umrzeć za Ojczyznę!

Powstanie objęło całe Królestwo a nawet Litwę, Wołyń i Podole.

W pamiętnym roku owym żył na Litwie leśnik jeden, imieniem Piotr. Życie upływało mu w szczęściu i spokoju, bo przyroda, wśród której przebywał ciągle, nauczyła go kochać to życie, nauczyła go miłować los swój i swoich najbliższych. Gdy tylko słońce złociste zajaśniało na niebie, brał strzelbę na ramię i szedł w bór ogromny, gdzie, czuwając nad powierzonym sobie lasem, wsłuchiwał się w urocze śpiewy ptasząt leśnych, poił uszy szmerem dębów odwiecznych. Wzrok swój pieścił rozlicznemi ziołami i kwiatami leśnemi, a do każdego drzewa przemawiał jak do swojego dobrego znajomego, bo było ono mu drogie i miłe.



Gdy nadszedł wieczór, wracał do domu, gdzie oczekiwała go z utęsknieniem małżonka jego umiłowana, Halszka najdroższa. Tu przy boku swej żony serce jego nuciło dalszy ciąg pieśni wesela.

Lat kilka zbiegło mu w tej błogości i szczęściu, a lata te zdawały mu się dniem jednym, chwilą krótką.

Ale niema nic wiecznego na ziemi: wszystkiemu koniec przychodzi, koniec przyjść musi, bo tylko Bóg jest bez początku i końca — a nic tak krótko nie trwa, jak szczęście ludzkie.

Widocznie i szczęście Piotra zaczęło znikać, gdyż coraz częściej osiadało na czole jego jakieś zamyślenie, którego nigdy przed tem nie było. Z wycieczek swych powracał leśnik codzienne smutniejszy, a uśmiech zdobiący dawniej usta jego znikł z nich bezpowrotnie.

Zaniepokojona tem Halszka zapytywała nieraz męża o powód jego smutku, ale ten zbywał ją półsłówkami, nie chcąc trwożyć swej małżonki.

— Nic mi — mawiał — nic mi nie brakuje; zdrowie i szczęście mam jak dawniej, a smutek mój to tylko pozorny, bom smutny nie jest wcale.

Tak mawiał Piotr, aby uspokoić Halszkę, ale ona czuła, że słowom męża brak szczerości, że na sercu jakąś troskę nosi.

Niepewność ta nie trwała jednak długo. Pewnego wieczora wrócił Piotr z lasu, jak zwykle, ale bardziej stroskany i więcej zasmucony. Po spożyciu wieczornego posiłku, zamiast udać się na spoczynek, jak to zwykł był czynić, przywołał Halszkę ku sobie i w te do niej odezwał się słowa:

— Halszko droga! wielkie rzeczy gotują się na świecie! Przemoc wroga naszego, Moskala, dogryzła do ostatniego dzieciom Ojczyzny biednej. Zaczęła się rozprawa na śmierć i życie. Przed dwoma tygodniami, w dniu 22 stycznia wybuchło powstanie na ulicach Warszawy, które, jak lawa rozlewa się po całej Ojczyźnie naszej. Ciche dotychczas wioski poruszyły się do boju; zadrżały lasy i stepy: kto żyw rusza na wroga, aby zwyciężyć lub umrzeć za Ojczyznę. I ja, nim świt niebo zaróżowi, złożę na twem czole ostatni pożegnalny pocałunek, by kiedyś wrócić, jako zwycięzca lub duch poległego za Ojczyznę.

Łzą zaszło lice biednej Halszki, twarz jej pokryła trupia bladość a nogi jej zaczęły drżeć, jak w febrze. Nie usiłowała jednak ani słowem przeszkadzać zamiarom męża, bo czuła to dobrze, że żaden prawy Polak nie powinien zostać w chwili tej w zaciszu domowem.

Wieczora tego Piotr nie rozbierał się zupełnie. Usiadł pod ścianą na ławie, aby czekać na znak do pochodu, lecz sen wkrótce zmógł go po całodziennej wędrówce leśnej.

Była właśnie godzina pierwsza po północy, gdy Halszka półśpiąca a półczuwająca usłyszała stukanie do okna. Zerwała się co tchu i pobiegła budzić męża, gdyż poznała, że znak to wzywający go do szeregów ojczystych. Jeden pocałunek, jeden uścisk dłoni, a potem tylko kroki oddalających się i biedna Halszka została samą z rozpaczą w sercu a boleścią na młodem licu.

Podążył Piotr z oddziałem powstańców przez bór ciemny, przez bór swój ukochany. Żegnał las swój drogi, a drzewa szumem liści odpowiadały na jego pożegnania. — Szli długo i bez wytchnienia. Umęczone nogi same bezwiednie się poruszały, a ża-

den z oddziału nie wiedział, jak długo jeszcze pójdą, gdyż dowódca niezwykł był zwierzać się przed towarzyszami broni ze swych zamiarów. Nareszcie odezwała się komenda:

— Stój! — a z głębi lasu wynurzył się drugi oddział zbrojnych, który ustawił się obok pierwszego. Wtedy dowódca wywoływał nowo, zaciężnych po jednemu na czele orszaku, aby każdy z nich przysiągł uroczyście, że wytrwa do ostatka pod polskim sztandarem.

Przyszła kolej i na Piotra, który przykląkł na jedno kolano, a wzniósłszy prawicę ku niebu, poprzysiągł na krzyż Przenajświętszy, że raczej krew do ostatniej kropli przeleje, niżby miał uciśnioną Ojczyznę opuścić.

I poszedł Piotr na służbę ciężką, poszedł, jak tylu innych dzielnych synów biednej Ojczyzny. Musiano prowadzić wojnę podjazdową, partyzancką, t. j. małymi oddziałami, które ścigały regularne wojska rosyjskie. Dzieje te, aby je oddać należycie krwią pisaćby należało, bo pióro, choćby najwprawniejsze tych wysiłków i trudów oddać nie potrafi.



Stoczono bitew wiele, niektóre zwycięzkie, ale ostateczny wynik nie mógł być innym, jak był, t. j. klęska. W jednej z tych bitew padł Piotr, przeszyty kulą moskiewską, z imieniem Halszki na ustach.

Wysiłkiem bohaterskim utrzymywano powstanie przez cały rok. Ale, niestety, gdy Prusak zawarł przymierze z Rosyą przeciw Polsce, ta ostatnia poczęła w najokrutniejszy sposób prześladować Polaków. Wśród tych prześladowań nie pozostawiono w spokoju i biednej Halszki. Zgraja siepaków moskiewskich rzuciła się na chatkę leśnika, z której wywlokła zrozpaczoną niewiastę, a rząd rosyjski skazał ją na dożywotnie roboty w kopalniach syberyjskich, a skazał ją za to, że ona i mąż jej ukochali Ojczyznę sercem całem i duszą całą.

Ciężko dni płynęły biednej Halszce: przykuta na łańcuchu do skały ciężkim kilofem musiała kruszyć kamień twardy, a choć kroplisty pot spływał z jej lica, choć ręce krew oblewała, oprawcy wytchnienia nie dawali, przynaglając do dalszej pracy. Jedynem wytchnieniem dla niej była noc, w czasie której zimny kamień był jej pościelą a wspomnienia dni szczęśliwych całą radością. I o nic innego nie prosiła Boga, tylko o to, aby jej dał mężnie przetrwać katusze i zesłał śmierć upragnioną.

Po roku takich męczarni zakończyła biedna Halszka swój żywot. W wigilię śmierci ukazała się jej Matka Boska Częstochowska, zapraszając ją niejako po nagrodę do Tego, który wszelkie cierpienia sowicie wynagradza.

Antoni St. Bassara.

1863.

Stój! stój! siwy koniu
Niech cię osiodłają,
Popatrz! tam na błoniu
Już na nas czekają.

Przykra nam niewola,
I choć stracim życie
Lecz wroga Moskala
Spłoszym wyśmienicie.

Siwy mój koniku
Czego ziemię grzebiesz?
Cieszysz się wojenką
Na którą pojedziesz?

Siekać tam będziemy
Moskala psubrata,
Który naszą ziemię
Gnębi długie lata.

Wszak Polak orężem
Umie dobrze władać,
I wtenczas zwyciężym,
Gdy każą broń składać.

Pamiętne dla „Muszki“*)
Kościuszkowskie kosy —
Było z nich tam juszki
Mięsa całe stosy.

Drżysz wraży narodzie
Na wyraz „powstanie“.
W Sybir knuty idzie:
Kto wspomina na nie.

Pomimo ciemiężeń
Tli iskra w Polaku,
Nie straszy go więzień,
Gdy pewny jest znaku.

Żegnam Was! żegnajcie,
Koń rży przed dziedzińcem;
Kiedyś powitajcie
Lecz z Wolności wieńcem.

— W Imię Boże! — krzyknął,
Bo Ojczyzna woła!...
Koń z rycerzem zniknął
W nocnej ciszy sioła.

*) Węgrzy Moskali nazywali „Muszkami“ po wojnie koszutowej r. 1848.

Zygmunt Bogdański.



RZEŹ W WARSZAWIE.



Obrazek ten przedstawia jedną z bolesnych chwil przed wybuchem powstania. Działo się to w r. 1861, d. 8 kwietnia. W kościele Karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu, zgromadzili się nabożni na nabożeństwo narodowe. Policya rosyjska postanowiła rozlać krew polską i kazała kozakom napaść na wychodzących spokojnie z kościoła. Scenę tę wymałował znakomity malarz Wojciech Kossak, który widział ją będąc małem dzieckiem, a tak mu się wbiła swą okropnością w pamięć, że odtworzył ją z ogromnem przejęciem i prawdą. Na prawo widać wejście do kościoła Św. Krzyża wprost w głębi wielki pałac Staszyca, w którym była niegdyś polska Akademia Nauk.

Krzyż w lesie.

O powstaniu polskiem napisano nieskończoną liczbę książek różnego rodzaju. Niektóre są bardzo piękne, zajmujące żywem opowiadaniem, a najbardziej działają na serca czytających Polaków te, które odznaczają się gorącą miłością ojczyzny. Do takich należy powiastka znanego pisarza żyjącego obecnie. Stefana Żeromskiego, z której podajemy tutaj ustęp najpiękniejszy. Początek zaś streszcza się jak następuje:

Przed kilkoma laty w wielkich lasach w Królestwie zebrała się komisya dla pomiaru lasów. Przewodniczył tej komisyi starszy rosyjski jenerał Rozłucki, Polak z pochodzenia ale zmoskalony, dalej geometra Knopf, Niemiec z nazwiska, ale dobry Polak z serca, podleśny Guńkiewicz, pisarz gminny Olszakowski i wójt Gała, wreszcie piszący to opowiadanie Żeromski, który jako młody chłopak, mający na wakacyach czas, przyjechał sobie konno na komisyę. Po dokonanych pomiarach, cała komisya zasiadła w lesie i odpoczywała pijąc herbatę przy ognisku, grzejąc się na mrozie styczniowym.

Tyle wstępu opowiadania, którego dokończenie brzmi jak poniżej:

*

Jenerał oddawna postawił szklankę na tacy i siedział wyprostowany. Czasami oglądał się na las. Słuchał, jak echa grają i rzekł, zwracając się do Guńkiewicza:

— Panie podleśny, a jak daleko z tego oto miejsca do Suchedniowa?

Guńkiewicz postawił szklankę i oświadczył, że na prostaki nie będzie dziesięciu wiorst (kilometrów).

— A pan tu drogi wszystkie zna?

Guńkiewicz uśmiechnął się z dumą, czy politowaniem. Od lat dwudziestu kilku był podleśnym.

— Tak.... — bąknął jenerał w zamyśleniu. — A pan taką drogę zna: od Zagnańska ku Wzdołowi? Była tam przy tej drodze karczma w szczerym lesie...

— Zagoździe — jakże! Stoi.

— Jedna korzenista droga szła stamtąd w kierunku Suchedniowa, a druga, lepsza na Wzdół, na Bodzentyn.

— Tak jest, panie jenerale.

— Więc karczma, pan mówisz, stoi?

— Stoi. Najgłówniejsza złodziejska przystań i ucieczka. Z całej korony polskiej koniokrady tam się właśnie schodzą.

— Przed tą karczmą, za drogą, po drugiej stronie był wydmuch piasku. Duży żółty... Na tym wydmuchu rosło kilka brzóz...

— A to jenerał pamięta doskonale! Z tych tam brzóz tylko jedna została. A były już brzozy — ba — ba! Karczmarz łajdak je wyciął. Jedna z tych brzóz została i to dlatego, że o nią krzyż oparty. Już, szelma, tej tknąć nie śmiał.

— Co za krzyż? Skąd tam krzyż? — żywo spytał Rozłucki.

— Jak to krzyż, panie jenerale... Ludzie postawią, drudzy czapki uchylą — i tak se ta stoi... Już też i spruchniał od dołu, podparło go się tam z boku dwiema listwami...

— Kto postawił? — nalegał jenerał.

— Prawdę powiedziawszy... — mruknął niewyraźnie Guńkiewicz, uśmiechajac się nieśmiało — prawdę powiedziawszy, to ja ten krzyż postawiłem... Drzewa tu mamy w bród. Wzięło się jodłę zdrową, jędrną, wystałą. Wpuściło się drzewo w ten piach głęboko, głęboko...

— A dlaczegóż w tem właśnie miejscu?

— Dlatego, proszę łaski pana jenerała, że w tem miejscu leży człowiek pochowany, tam w tej wydmie.

Jenerał zwiesił głowę i przez czas dość długi siedział w milczeniu. Wyjął wreszcie z bocznej kieszeni srebrną papierośnicę, otworzył ją niepewnymi palcami.

— A wiesz pan — mówił z zimnym uśmiechem — że ów człowiek, co tam pochowany leży, to mój rodzony bratanek...

Geometra Knopf, który dotąd siedział bez ruchu, zapatrzony w płomień ogniska, rzucił na jenerała gwałtowne spojrzenie:

— Rymwid?! — zawołał.

— Rymwid! — powtórzył jenerał z zaciekłością i szyderstwem. — On, porucznik mojego pułku — Rymwid! Kapitan! No i doigrał się...

— Rodzonego brata drugi z rzędu syn, Jan — mówił jenerał w zadumie. — Brat mój w sewastopolskiej wojnie pod Małachowym Kurhanem sławnie zginął. Na polu bitwy umierając, mnie swych dwóch synów swoich polecił. Jam mu braterskie i żołnierskie słowo dał, że ich na ludzi wychowam, w świat wyprowadzę. No i dochowałem słowa. I dochowałem... Starszy na Kaukazie służył i tam z cholery umarł w randze sztabskapitana. Młodszy, Jan, przy mnie w pułku służył po skończeniu korpusu. Ożenił się młodo z Polką, Płazianką, synka małego miał, kiedy to podłe powstanie przyszło. Przyszło to podłe powstanie, moi panowie, odkomenderowali... Ja

wtedy byłem w randze podpułkownika. Poszliśmy w opoczyńskie...

No tak. Ten mój bratanek zdradził. Tylko co rozlokowaliśmy się na leżach, uszedł nocą do bandy. Rano jednego dnia raportuje mi kapitan Szczukin, że tak i tak: Jana niema. W kwaterze, gdzieśmy stali, w Siepi, znaleziono kartkę na stole z zawiadomieniem mnie, jako dowódcy naówczas trzech batalionów, że »wierny obowiązkowi dla swej ojczyzny« i tym podobne brednie. Mnie, swego przełożonego i stryja, wzywa, żebym także splamił swój oficerski honor, złamał przysięgę i uciekał za nim do bandy, do lasu. Tak to, moi panowie!

Kopf ćmił swego papierosa uważne, powoli. Guńkiewicz nie chciał już pić herbaty. Siedział oszołomiony, patrząc w mówcę, jak w tęczę.

— Doszły mię wieści — ciągnął jenerał — że nasz ucikinier jest szefem sztabu w jednej z band. No dobrze... Szliśmy wciąż obławami to za taką partyą, to za inną. Co wyjdziem od Końskich w Suchedniowskie lasy, to oni ujdą w głąb, ku Bodzentynowi. My się wrócimy, to ci za nami. Jeden szczególniej wódz, pułkownik czy kapitan, nazwiskiem »Walter«, najbardziej nas zwodził. Palił nocą szerokie ogniska, niby to obóz, a sam usuwał się od takiego miejsca dosyć daleko i nocował bez ognia. My ciągniemy obławą, otaczamy cichaczem owe ognie dalekie, napadamy wreszcie nocą — pustka. A on tymczasem na uczyniony hałas podchodzi, jak rabuś, strzela w naszych żołnierzy, pod blask ognisk i umyka w knieję. Miał i chłopów zbałamuconych, którzy nas nocą prowadzili na te fałszywe obozy.

— Ale przerwała się zabawa — opowiadał jenerał. — Na raz, na dwa, na trzy wreszcie się sztuka uda, ale nie na zawsze. Zdarzyło się, że szedłem ja na czele sześciu rot od Zgnańska ku Wzdołowi — ot tą drogą na karczmę. Zanocowałem w karczmie, a Szczukina posłałem z rotą na szukanie tego Waltera. Do bitwy gałgan nie idzie, leży tygodniami w bagnie koło Klonowa, w Bukowej górze — musimy go szukać. Ledwiem tej nocy zasnął, budzi mnie adjutant, młody człowiek: strzały gęste w lasach. Ocknąłem się. Las rzeczywiście huczy, huczy... Ot, jak teraz. Żal.. Serce boli. Posłałem ja drugą rotę na wsparcie Szczukinowi. Nie upłynęło więcej nad dwie godziny, nadciągnęli. Wprowadził ich chłop na obozowisko, ale już teraz prawdziwe. Kiedy ich ogarnięto i uderzono bagnetem, większość wybiła się i pierzchła w las, sporo zginęło na miejscu. Szczukin przyprowadził wziętego w ręcznym boju, krótko mówiąc, nie kogo innego. tylko mego bratanka — »Rymwida«.*)

Miałem ja rozkaz nieodwołalny od mego jenerała brygady lasy aż po Bodzentyn oczyścić za wszelką cenę — z prawem życia i śmierci. Nie było czasu na wysyłanie jeńców do więzienia w gubernii, a i siły miałem s czupłe. Oficerowie wzburzeni. We mnie, jako krewnego, surowym pytającym wzrokiem patrzą. Kazałem złożyć sąd polowy i to natychmiast, bo trzeba było bandę ścigać bez zwłoki. Ja prezydujący, kapitan Szczukin i kapitan Fiedorow z prawej strony, porucznik von Tauwetter i feldwebel Jewsiejenko — z lewej strony. Zasiedliśmy natychmiast w wielkiej izbie karczmy. Łojowa świeca paliła się w lichtarzu...

Jenerał mówił coraz szybciej, niezrozumialej, coraz częściej wtrącał rosyjskie wyrazy, zwroty, zdania. Poprawił się na krześle i ciągnął:

*) Był zwyczaj, że powstańcy, zajmujący wybitniejsze stanowiska, przybierali sobie fałszywe nazwiska, aby ich rodzin nie ścigali Moskale.

Przyprowadzili. Sześciu żołnierzy, on w środku. Mały, wychudły, czarny, oborwaniec. Włosy wzjeroszeny (rozburzone). Ledwie poznać... Spojrzę ja na niego: Jaś, rodzonego brata ulubiony syn... Na kolanach wyhodowałem... Jakieś na nim gałgany... Twarz przez całą szerokość rozorana bagnetem, sina, zapuchnięta. Jak wprowadzili, tak i stanął przy drzwiach. Czeka. A ty, sędzio, sądź!

No, najpierwej pytanie urzędowe, formalne: kto jest? — Milczy. Patrzymy w niego wszyscy. Towarzysz dobry, kolega kochany, dusza-człowiek, oficer pierwszorzędny. Twarz jego zrobiła się harda, zastygła, skrzywiona od jakiegoś uśmiechu, co tę twarz miłą, dobrą i miękką wykrzywił, podobnie — ot, jak kowal weźmie i wykrzywi w ogniu raz na zawsze miękkie żelazo w krzywy hak. Ci żołnierze, co go strzegli, to byli razem świadkowie. Zeznali, że go pojmali w lesie, nocą, bijącego się z nimi pierś w pierś, że on jest ten sam, ich własny porucznik Rozłucki. Sprawa jasna, cóż tu więcej? Głosować... Wtedy zwraca się do mnie sędzia z prawej strony, kapitan Szczukin, i powiada, że chce jeszcze podsądnemu pytania zadawać. Cóż — zadawaj. Wstał Szczukin ze swego miejsca, kułakami oparł się z całej mocy na stole, przechylił się przez stół ku niemu. Żyły mu na czoło wylazły, twarz zczerniała, jak ziemia. Oczy wlepił w winowaicę. Czekamy wszyscy o co go jeszcze będzie badał. Tymczasem ten słowa wypowiedzieć nie może, bo człowiek był twardy, nieuczony. Nozdrza mu drgają, brwi się zeszły. Zaczął wreszcie walić kułakiem w stół i wołać ku podsądnemu:

— Rozłucki! ty nie śmiej tu przed nami hardo stać! Nie śmiej w nas patrzeć takiemi oczami! Tyś zaprzysięgał, czy nie? Coś zrobił z twoją przysięgą? Odpowiadaj! Przysięgałeś carowi czy nie?

— Przysięgałem — rzekł.

— Przysięgałeś — jął znowu krzyczeć Szczukin na całą karczmę, gniotąc stół pięściami — a z tą świętą przysięgą ty coś zrobił? Tyś z szeregu uciekł do wroga. To prawda, czy nie?

— To prawda.

— Razem z innymi zdrajcami swego panującego napadłeś na jego wojsko z zasadzki. Prowadziłeś zdrajców, dawałeś im najzgubniejsze wskazówki, uczyłeś ich, gdzie i jak uderzać. Jeżeli to wszystko prawda, to ty nam, żołnierzom prawym i wiernym w oczy tu mężnym wzrokiem patrzeć nie śmiej! Stoisz przed obliczem sprawiedliwego sądu. Spuść oczy i zniż się, bo ty jesteś zdrajca i nędznik! On na to rzekł:

— Ja stoję przed sądem Boga. A ty mnie sądź według swojego sądu. jak chcesz.

Szczukin siadł. Głosowanie. Dwa głosy padły za karą natychmiastową, dwa za odesłaniem pod konwojem do Kielc. Mnie tedy przyszło przechylić szalę. No i przechyliłem... — mówił cicho, kiwając głową. Mieli wyprowadzić. Jewsiejenko wniósł, że może ma ostatnie życzenie. Dałem głos. Staliśmy wszyscy za stołem. On podszedł blisko. Patrzy mi w oczy, ja w jego. Jakby dwie lufy pistoletowe przystawił... Pamiętam surowe słowa: — Rozkazuję przed śmiercią, i to jest moja niewzruszona, ostatnia wola, żeby mój mały, sześcioletni syn Piotr był wychowany jako Polak, taki sam, jak ja. Rozkazuję, żeby go uczyć, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głosem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, tak samo, jak ja. — No i wszystko!

Oddał nam cześć po wojskowemu. — Wyprowadzili.

Zaczął się budzić dzień. Poszedłem do alkierza, gdziem tej nocy miał spać. Otwarłem okno. Brzask dnia już się zaczynał. Ranek.. Po drugiej stronie drogi sześciu żołnierzy szybko wybierało łopatami dół w piasku. Odszedłem w głąb izby. Odwróciłem się twarzą do ściany. Boże mój... Było już jasno, kiedym wrócił do okna. Mogłem już widzieć spokojnie. Na kupie piasku, pod strażą dwunastu żołnierzy z karabinami u nogi, bokiem do mnie zwrócony, siedział spokojnie. Zdjęto mu już kurtkę powstańczą. Był w koszuli i tę koszulę miał rozerwaną na piersiach. W rękach ściśniętych trzymał między kolanami fotografijkę syna Piotrusia. Głowa zwieszona, włosy spadły na czoło, oczy w tej fotografii utopione.

Zaszedł pluton żołnierzy, należący do jego własnej roty, z za węgła karczmy. Stanął ten pluton naprzeciwko. Von Tauwetter prowadził. Żołnierze — broń u nogi. Stoją. Minęła chwila, druga, trzecia... Czekam. Czekam, żeby Tauwetter dał komendę. Nic, cisza. Nic, cisza. Nie może dać komendy. Tamten siedział wciąż z oczami w swoim obrazku. Miałem złudzenie, że może już, tak siedząc, umarł. Przez chwilę miałem tę ulgę. Czekam. Aż oto podniósł głowę. Stanął na kupie piasku. Nogi mu się zarobiły w sypkiej ziemi, więc się poprawił raz i drugi. Obejrzał się poza siebie, odgarnął włosy od czoła i spojrzał w żołnierzy. No, chwała Bogu. Byłem szczęśliwy, że to tak, że tak właśnie, z dumą... Że Rozłucki tak właśnie umiera... Rzekł:

— Zdrowio rebiata!

— Zdrowia żełajem waszemu błahorodju! *) — zawrzasnęli żołnierze plutonu, jak jeden człowiek.

Podszedł Jewsiejenko, żeby mu oczy zawiązać. Odepchnął go oczami. Feldfebel odszedł. Przycisnął tedy do serca ową małą fotografijkę, zamknął oczy. Uchyliły mu się usta od wyższego, pięknego uśmiechu. Zamknąłem i ja oczy... Przypadłem piersiami do ściany. Czekam, czekam, czekam. Nareszcie — t a r - r a c h !

Geometra Knopf zdjął czapkę i coś tam suchemi wargami do siebie szeptał. Guńkiewicz grzebał patykiem w popiele ogniska, jakby pragnął pozakopywać sowite, pijackie łzy, kapiące z jego oczu.

Zapanowała cisza. Wołały się echa po leśnych górach... Wtem pisarz gminny zwrócił się do jenerała z pytaniem:

— Proszę też łaski pana jenerała, a gdzie naprzykład jest teraz ten mały syneczek, ów wtedy sześcioletni Piotruś?

— A tobie to na co wiedzieć, gdzie on? — grubijańsko i twardo odpowiedział jenerał.

— Ciekawość mię wzięła wiedzieć, czy się też spełniła ostatnia wola i rozkaz onego powstańca?

— Nie twoja to rzecz i ty o takie rzeczy nie śmiej mnie pytać — słyszysz!

— Ja się też odrazu dorozumiałem — odrzekł pisarz, patrząc swemi szelmowskiemi oczami, z bezczelną drwiną prosto w oczy starego jenerała, — ja się też odrazu dorozumiałem, że z tej twojej ostatniej woli, kapitanie Rymwidzie, tęgo się dyabeł musiał uśmiać!

---

*) Takiemi słowami według przepisu wita każdy oficer rosyjski swoich podwładnych, a oni mu odpowiadają.



CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

IV.

Zbigniew przychodził do zdrowia szybko, dzięki staraniom Zachara, który się nim szczerze zajął. Codziennie go odwiedzał, ranę opatrywał i zioła wzmacniające znosił. Dziękował młodzieniec staruszkowi jak mógł, na co ten jeno ręką machał, nic nie odpowiadając.

Podobnie jak Zachar — Magda z całą troskliwością opiekowała się swoim »paniczem«. Nie odchodziła prawie od łoża, a polepszenie stanu zdrowia Zbigniewa wprawiało poczciwą niewiastę w radość niekłamaną. Polubił też Karski Magdę i Zachara, oni teraz wszak jedynymi przyjaciółmi mu byli.

Jeno do Jonka nie mógł się przekonać. Czuł do niego wstręt niczem nie przełamany, którego powodu określić nie potrafił. Było to uczucie instynktowe, wyrodziło się... Bóg wie z jakiego źródła.

Zachar przy każdych odwiedzinach wypytywał Zbigniewa o szczegóły przygód — zaś podczas opowiadania mruczał, do siebie półsłówkami gadał, posępniał. Odchodził zawsze zły, nie patrząc na nikogo.

Zbigniew — skoro jeno do pamięci wrócił — o niczem nie myślał, jeno o podczaszance. Piękne dziewczę stało mu przed oczyma wciąż, niby pomocy błagając. Codziennie też rozpytywał Magdy, czy jakiej wiadomości nie ma o niej, albo czy na ślad hajdamactwa nie natrafiono — za każdym zaś razem otrzymywał przeczącą odpowiedź.

— Skoro Hriszko ją chwycił... nie wróci do Stepanowa — dodawała staruszka. — Pytaj kogo chcesz paniczu, a każdy ci to powie...

— Czemuż powiadacie, że nie wróci?

— Że nie wróci, powiadam dlatego, bo Hriszko wszystkie dziewczęta, które kraśne liczko mają, chwyta, a żadna z nich dotąd nie wróciła. Nie mało już zginęło ich bez wieści. Och!

— I co z niemi robi? co?

Magda ręce rozwarła.

— Kto go tam wie... Chwyci i tyle. Z naszego Stepanowa bodaj siedm już w jego ręce wpadło.

— Podczaszanka bo ma stryja... on przecie będzie ją szukał... wynajdzie.

— Oj, paniczu, paniczu — z uśmiechem smutnym odparła staruszka. — Gdybyście wy starostę znali...

— Wszak brat nieboszczyka podczaszego krwi swojej na pohańbienie nie da!

— Brat, to prawda... Dla oczu ludzkich może będzie ją szukał, ale tak — żeby nie znaleźć. Więcej mu znaczy braterska spuścizna, aniżeli wszystko. Zły człowiek jest pan starosta, straszny...

— Gdy nie zechce zająć się odszukaniem, ja sam się zajmę... — rzekł po chwili. Nie dozwolę, aby tak piękna i takiej zacności panienka ginęła marnie...

Magda w dłonie plasnęła.

— Paniczu jedyny... toć wy ją miłować musicie?

Zmięszał się Zbigniew, oczy spuścił.

— Zgadłam? Wszak prawda? — mówiła stara stawszy i ręce na piersiach złożywszy. — Musicie ją miłować... bo! i nie dziwota... Ptaszynka była jak malowanie... Niejeden do Stepanowa na zamek zajeżdżał panicz... Jak muchy do miodu latali... Ale nieboszczyk podczaszy odprawiał wszystkich, powiadając, że córka za młoda... Ho! ho!... brakło wam paniczu do twojej niedoli, aby ci serce płakało. Biednyż ty synku, sokole mój...

Zbigniew sposępniał.

W kilka dni potem wstał Zbigniew, czując się zupełnie zdrowym. Pierwszem zaś, co przedsięwziął,

było udać się na zamek i z panem starostą widzieć. Magda nie odradzała, ale zgóry mówiła, że starosta jeno się ucieszy z wiadomości o śmierci rodziny i porwaniu krewnej przez hajdamaków.

Stepanowo było miasteczko niewielkie, ubogie, w chwili ówczesnej przedstawiało obraz prawdziwej nędzy. Tu i owdzie kominy sterczały nagie, czarne, znak pogorzeli. Domy stały jakby puste, rzadko kto ulicą przechodził. Wszystkie budynki były z drzewa, słomą kryte, jeden tylko zameczek ściany miał z muru. Wybudowano go na wzgórzu, tuż poza miasteczkiem, prezentował się wcale niepokaźnie. Opasany był murem grubym, przed którym wał usypano i wykopano szeroki rów. W murze ustawiono bramę, mocno skleconą i żelazem okutą. Przed nią leżał most zwodzony, podnoszący się na łańcuchach grubych. Z nad bramy wyglądało małe okienko, wychodzące z izby strażniczej na gościniec. Sam zameczek był to budynek piętrowy, z trzech części się składający. Środkowa, najwęższa, ozdobiona była z przodu słupami, poza któremi znajdowały się wielkie drzwi wchodowe. Prawe i lewe skrzydło w tył nieco cofnięte, dźwigały na sobie każde po jednej wieżyczce, opatrzonej w wąskie, niewielkie okienko. Z nich patrząc rozlegał się widok na całą okolicę.

Zbigniew wprost ku zamkowi zmierzył.

Upłynęła dobra chwila zanim mu furtę mniejszą otworzono. Znalazłszy się poza murem o starostę spytał, na co mu wrotny odpowiedział, że jest na zamku i drogę, którą się należało wskazał.

Idącego ku drzwiom głównym napotkał wysoki, chudy szlachcic, który nieznajomego spostrzegłszy, naprzeciw wyszedł. Szlachcic ów głowę miał łysą prawie, twarz wyciągniętą, zapadłe policzki, wzrok bystry, przenikliwy, ale nie odstręczający. Wydawał się na pierwsze spojrzenie ponurym, co wszakże winą było pochylonego karku, który wiek nagiął i brwi krzaczastych nad oczyma, nadających twarzy surowy wyraz. Zwał się Ignacy Padyga, a był ulubieńcem podczaszego wielkim. Człek uczciwy, sumienny, zawdy powodujący się otwartością, nie schlebiał nikomu, prawdę w oczy rąbał, nie patrząc na stan osobistości, do której słowa zwracał. Na zamku lubiono go powszechnie, z wyjątkiem pana starosty i niejakiego Ozgi. Pierwszy sobek, zamknięty w sobie i jedynie dla siebie żyjący, często musiał słuchać ostrych wymówek z ust Padygi. Był bowiem hulaka niepomiarkowany, życie prowadził rozwiązłe i oburzał nawet swoich przyjaciół, chociaż tych nie miał wielu. Straciwszy fortunę własną, osiadł u brata, który mu łaskawie kąta pozwolił i chciał tu rządzić jak na swojem. Niewczesne wybryki hamować potrafił jeden tylko Padyga. Ten przemawiał do starosty ostro, krzyków się jego nie lękał i tym prostym sposobem zyskał przewagę. Starosta odgrażał się na niego, obiecywał »jak psa ubić«, co pan Ignacy mimo uszu puszczał, gardząc próżnym wrzaskiem.

Ozga — drugi nieprzyjaciel Padygi — był faworytem starosty, i w zupełności potwierdzał przysłowie: »jaki pan, taki kram«. Jeno pił, jadł, spał i potakiwał swemu panu, mając dla niego w każdej chwili cały arsenał admiracyi. Kłamca obrzydliwy, gotów dla zyskania grosza lub innej korzyści samego siebie oplugawić, obżartuch, kostera, pijak, kłaniał się każdemu, byle coś zarobić... Przywiózł go starosta ze sobą i podczaszemu za najwierniejszego i najuczciwszego sługę przedstawił, czemu ten z początku wierzył. Trwało to nie długo. Jak podczaszy, tak wszyscy zresztą poznali się na Ozdze, wskutek czego Padyga usiłował go wypędzić precz. Starosta jednak wyprosił się u brata i wisiał Ozga przy nim z czego był niezmiernie rad.

Napotkawszy Padygę skłonił się Zbigniew.

— Czy mam honor z panem starostą Hrynieckim rozmawiać? — zapytał.

— Nie — odparł Padyga. — Waszmość do niego.

— Do niego, panie dobrodzieju.

— Wolno spytać kto i z czem?

Zaprezentował mu się Karski, oznajmując, iż z pilną wiadomością przybywa i radby co prędzej z samym starostą mówić.

— Pozwól waszmość do zamku — rzekł Padyga. — Jam tu zastępcą pana starosty, brata pana podczaszego. Starosta obecnie spoczywa. Skoro się obudzi oznajmić waćpana każę.

Wprowadził Zbigniewa do zamku.

Gdy się znaleźli w komnacie (snać za mieszkanie Padydze służącej) po chwili milczenia odezwał się Karski:

— O panu podczaszym wiadomości waćpan dobrodziej nie masz dotąd?

— Czemu waszmość o to pytasz? — nieco zdziwiony zagabnął Padyga.



Słuchacz zbladł, ręce załamał, stanął do posągu podobny.

— Ukrywać nie mam co. Przyjechałem do pana starosty, acz nieznany tu nikomu, ze smutną relacyą.

Przysunął się do niego pan Ignacy, mocno zainteresowany wstępem.

— Jeżeli waszmość łaskaw udzielić mi onej — rzekł. — Wszelka wiadomość tycząca się rodziny podczaszego żywo mnie obchodzi, bardziej nawet może niż pana starostę.

Opowiedział Zbigniew swe podróżne przygody, od chwili znalezienia szałasu i zwłok rodziny podczaszego, do dnia dzisiejszego.

Słuchacz zbladł, ręce załamał, stanął do posągu kamiennego podobny. Znać było, że udzielona wiadomość była dla niego strasznym ciosem.

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście! — szepnął, rękę do czoła podnosząc. — Biedni ludzie... biedna sierota...

I łzy mu z ócz wytrysły, ściekając po wyschłych policzkach. Nie zważał na gościa Padyga, rozżalił się wielce. Siedząc, głowę rękami wsparł, jak dziecko płakał, co chwila powtarzając:

— Biedny podczaszy... nieszczęśliwa dziewka....

Patrzył na niego Zbigniew, milcząc — żal tak szczery wzbudził w nim współczucie.

— Że też waszmość prędzej tej wiadomości nie przysłałeś. Teraz... bodaj zapóźno.

— Waćpan dobrodziej racz zważyć, żem o świecie nie wiedział i zaledwiem z łoża wstał — bronił się Zbigniew.

— Wybacz waszmość. Stało się... Człek z żalu sam nie wie co powie. Wiedz bowiem, że nowina, którąś przyniósł, nie tyle starostę obchodzi, ile mnie.

Wstał, do drzwi poszedł, uchylił je, chcąc się przekonać, czy kto nie słucha, wrócił następnie i począł, zniżywszy głos.

— Nie omylę się, gdy waszmości zwierzę kwestye pewne, które na nieszczęście, tajemnicą dla nikogo nie są. Waszmość masz minę uczciwego, śmiało tedy przemówię. Trza wiedzieć, jakiego gatunku człowiek jest pan starosta. Nie znając go, trudno ci będzie wierzyć. Tyle powiem, że wiadomość, jaką mu przynosisz, mocno go uraduje. Jestto bowiem istota bez serca, dba tylko o siebie, nie ceni niczego, prócz własnych wygód.

— Wszelako chociaż przez wzgląd na ludzi starać się będzie o wynalezienie panny Anieli!

— On? on? — zawołał z gorzkim śmiechem Padyga. — Aniela obecnie jest prawą dziedziczką po rodzicach, miałżeby tedy starać się o jej powrót? On, gdyby nawet wiedział gdzie jest podczaszanka, nie ręczę, czy nie pospieszyłby się ją usunąć, aby spadek po bracie zagarnąć dla siebie. To zwierz, nie człowiek!

— Ależ na miłość Bożą, trzeba coś przedsięwziąć! — przerwał z wybuchem Zbigniew. — Waćpan, jako przyjaciel nieboszczyka podczaszego, nie dajże ginąć jego córce... Gdy starosta rzecz tę obojętnie weźmie, ja sam się ofiaruję odszukać podczaszankę, bylem pomoc miał.

— Bądź waćpan pewnym, że spokoju nie zaznam póki nie odszukam — rzekł uroczyście Padyga. Ofiarę waszmości przyjmuję, widzę bowiem, że płynie z serca... Na starostę nie mamy co liczyć. Nietylko że nam nie pomoże, ale na przeszkodzie stanie.

— Rodzony brat! — westchnął Zbigniew.

— Rodzony brat! — powtórzył Padyga. A no, może sobie pomimo tego radę damy.

— Zwracam tu uwagę waćpana dobrodzieja, że każda chwila jest dla nas droga — zauważył Zbigniew. Proszę o tem pamiętać.

— Uwagę przyjmuję i nawzajem waćpanu swojej udzielę. Nasamprzód zdaj waszmość relacyę staroście, obaczymy co powie na to.

— Mniemam, że skoro starosta jest takim, jakim go waszmość przedstawiłeś, nie ma potrzeby...

— Owszem niechaj wie. Skoro poczuje się do obowiązków tem lepiej, gdy zaś sobą zostanie, oznajmiam waszmość panu, że dopókim żyw i dopóki mieć będę nadzieję odszukania podczaszanki, pan starosta panem tu nie będzie. Zresztą o tem potem. Teraz pójdź waszmość ze mną.

Wyszli obadwaj z komnaty.

Doprowadził Padyga Zbigniewa do samych drzwi pomieszkania pana Łukasza Hrynieckiego, sam się potem wrócił oznajmując, iż czekać go będzie w swojej komnatce.

— Ino — dodał nagle — nie powiadaj waszmość żeś mówił komukolwiek o swoich przygodach. Ja o niczem nie wiem.

Palec do ust przyłożył i odszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Ze moja gospodyni uwierzyli w te bałaguły, co Kaśka wójtowa na mnie nababrała do gazyty, to się wcale nie dziwuję, ale ze uwierzyli w to takze mądre ludzie, to mnie to dziwi okrutecnie. A ze ja nigdy nie kłamię, to wam tu wypisę, jak mnie z Osieka kunirują:

»Ten wasz Maciek to hycel, darmozjad i bezecnik, że on ani świętego miejsca nie uszanował. Dlatego życzymy mu, żeby go żadna dziwka nie chciała, ale kopnęła go gdziesik, żeby aż na dziesiąty zagon poleciał. Jeżeli się nie poprawi, to w takim razie wypowiadamy mu przyjaźń i przed ludźmi ganić go będziemy:

Ale za to jeden ksiądz z ty wsi, co to sól kopią, tak do mnie pise:

Maciuś Bzdura dzielny chłopiec na wesele prosi,
O tem w swych numerach pięknie „Rola“ głosi.
Niechże się ożeni, kiedy ma ochotę,
Tylko mu dajcie dukat za robotę,
By nie potrzebował, by go żona uchowała,
Boby go może czasem nie uszanowała!
A „conto“ jego o gazetę proszę,
I wiwat Bzdura! jak najgłośniej głoszę.

No ale i to jesce nic, bo Robert Rydz, co to takie piekne wirse w »Roli« pise, to tak do mnie ślachetnie uskładał:

Powiem ci dzisiaj, Maciuś, rzecz prawdziwą,
Że Cię nadzwyczaj w mej wiosce kochają,
Że każdą pannę masz tutaj życzliwą,
— Ja Maćka kocham — tak wszystkie gadają...

I między niemi z tego tylko swary,
Bowiem się każda w tobie zakochała,
Zgodziłaby się nawet pójść do fary,
Byleby ciebie za małżonka miała...

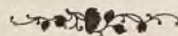
Więc ja im gadam: skoro wszystkie chcecie
Mieć kochanego Maciusia przy sobie,
Który tak ładnie pisuje w gazecie,
Dajcie korony, a ja wam to zrobię,

Że każda z was go zaraz będzie miała,
Gdy Redakcyi da cztery korony,
To z Maćkiem Bzdurą będzie wciąż gadała,
Z czego on także będzie ucieszony.

Ale cóż, widać pieniędzy nie mają,
Bo każda na to krzywi się z niesmakiem...
Więc chociaż Ciebie, Maciusiu, kochają,
Ale dostaną za to figę z makiem...

Pozdrawiam Ciebie na razie serdecznie,
Wasz ukochany Panie Maćku Bzduro!
I gospodarza też pozdrawiam grzecznie,
A gospodynię... e, szkoda psuć pióro...

A innych pisanin na moją pochwałę mam takze bez miary, ze byłoby niemi bez cały rok w piecu palić.



Z TYGODNIA.

Nowi ministrowie polscy. Podajemy tu podobizny nowomianowanych ministrów polskich.

Dr. Stanisław Głąbiński, nowy minister kolei, urodził się w r. 1862 w Skolem. Był profesorem na uniwersytecie lwowskim, następnie posłem, od dwóch lat prezesem Koła polskiego. Dr. Głąbiński, jako profesor skarbowości, byłby pewnie dobrym ministrem skarbu, którą to godność od szeregu lat piastowali Polacy, lecz, niestety, Koło polskie osłabione wewnętrznemi waśniami, straciło urząd ministra skarbu, który jest najważniejszym w całym gabinecie.



Stanisław Głąbiński.



Wacław Zaleski.

Minister Galicyi Dr Wacław Zaleski jest synem byłego namiestnika i również ministra dla Galicyi, oraz prezesa Koła polskiego ś. p. Filipa Zaleskiego. Nie jest on ministrem parlamentarnym, jak Dr. Głąbiński, bo nie ma mandatu poselskiego, lecz ministrem urzędnikiem. Przedtem był szefem sekcyi czyli najwyższym urzędnikiem w ministerstwie rolnictwa i należy do najgruntowniejszych znawców naszego kraju. Urodził się w r. 1868 a po ukończeniu studyów uniwersyteckich był przez długi czas urzędnikiem w namiestnictwie i paru starostwach w Galicyi.

Następca ks. Wawrzyniaka. Na nadzwyczajnym walnym sejmiku Związku spółek zarobkowych i gospodarczych w Poznańskiem i Prusiech zachodnich, który odbył się w Poznaniu, postanowiono złożyć opróżnione przez śmierć ś. p. Wawrzyniaka kierownictwo Związku w ręce zasłużonego długoletnią pracą na niwie społecznej księdza Stanisława Adamskiego z Poznania. Wobec rozwoju tych Spółek, rozwoju tak olbrzymiego, o jakim my tu w Galicyi nie mamy pojęcia, stanowisko takiego kierownika Związku, czyli Patrona, jest ogromnie ważne i poważne. Patron jest jednym z największych dygnitarzy pod zaborem pruskim, chociaż nie zajmuje żadnego urzędowego stanowiska. Niemcy nazywali poprzedniego Patrona, zmarłego niedawno ks. Piotra Wawrzyniaka »królem Wielkopolski«.

Wielki tryumf Węgrów. Przed paru dniami odbywały się na giełdach peszteńskiej i wiedeńskiej zapisy na 200 milionów koron 4-procentowej renty węgierskiej. Zapisy dały 14 miliardów koron, więc żądana kwota pokrytą została 70 razy. Zapewne wpłynie to na kurs renty węgierskiej, który był w ostatnich czasach już bardzo niski, 4-procetowa renta bowirm stała 91.80. Takie olbrzymie zgłoszenie się jest dowodem, że ludność ma zaufanie do rządu i chce powierzyć mu swoje pieniądze.

Zarazem jest to także tryumf rządu węgierskiego w polityce międzynarodowej. Francuski rząd bowiem, za poduszczeniem Rosyi, nie pozwolił Węgrom na zaciągnięcie pożyczki we Francyi. Wówczas rząd węgierski porozumiał się z bankami niemieckimi, które pożyczkę poparły.

KRONIKA.

Świętokradztwo w katedrze krakowskiej. W przeszłym tygodniu w nocy ze środy na czwartek skradziono w katedrze na Wawelu z ołtarza Pana Jezusa Cudownego dwa wota, jeden zegarek złoty większy, drugi mniejszy. Śladów włamania do katedry nie znaleziono nigdzie, na obrusie ołtarza był tylko słaby ślad nogi w obuwiu. Złodziej nie ruszył obok wiszących wotów, szczerozłotego serca i medalu. Z tego samego ołtarza skradziono w listopadzie z. r. kilka wotów.

Jasełka w Modlnicy. Dnia 6 i 8 b. m. odbyły się w Modlnicy pod Krakowem dwa przedstawienia jasełkowe, które na scenę modlnicką opracował bardzo zręcznie i zajmująco miejscowy kierownik szkoły p. Władysław Sieńko. Odegrali je włościanie z Modlnicy z doskonałem zrozumieniem rzeczy, a w grze takiego Stanisława Gałczyka, Jana Koźnia, Franciszka Wojdyły, Andrzeja Zabiegaja, Kazimierza Wisteli, Józi Wyżdzianki i Marysi Kłysianki, widać było już pewne wyszkolenie sceniczne. Chór mięszany odśpiewał kolendy bardzo dobrze, a typowy »Dziaduś« zbierał datki na cele Kółka rolniczego. Włościanie miejscowi i z sąsiednich wiosek, oraz dwory, wypełnili salę po brzegi i nie szczędzili też zasłużonego poklasku wykonawcom i autorowi p. W. Sieńce.

(Z. B.) **Dziwy na niebie.** W nocy 7 stycznia na południowo-zachodniej stronie nieba pod Jaśliskami widno było ogromną niby aureolę świetlaną na tle chmurkami zapstrzonego nieba, w samym środku tego koła świecił księżyc trochę zamglony. Wnętrze tego koła było czyste, bez żadnej chmurki, ciemniejsze od reszty nieba a brzeg koła jasny świetlany, koło u dołu ginęło w chmurkach i czepiało się prawie horyzontu a górna część tej aureoli sięgała prawie dwie trzecie części wysokości nieba do zenitu. Po lewej stronie nad księżycem świeciła silniej jedna gwiazda wewnątrz koła; malowniczo przedstawiał się kościół na tle tego zjawiska, jak gdyby aureola nad nim się unosiła. Z zachodem księżyca niknęła ta ogromna aureola a tarcza koła chmurkami zaszła i przybrała kształt półkola, później niby jak bezbarwna tęcza wyglądała i około północy znikła.

(Z. B.) **Nieszczęśliwy wypadek** zdarzył się włościaninowi Iwanowi Najko z Woli wyżnej na starym roku. Wywiózł on do Jaślisk drzewo i sprzedał mieszczaninowi M. B., mieszkającemu nad brzegiem, któremu częściej sprzedawał już drzewo. Złożywszy drzewo z wozu, odprzęgnął konie, sam wziął się do obracania wozu, nie zahamowawszy go poprzód, a tak niezręcznie zabrał się do tej pracy, iż wóz wpadł pod brzeg (prawie dwumetrowy) porywając za sobą gospodarza. Gospodarz został ugodzony »sforą« w brzuch, nadto lecąc z brzegu potłukł sobie o kamienie krzyże tak, że na drugi dzień, w ruski Nowy Rok wyzionął ducha.

(M. P.) **Napad dzika na leśniczego.** Dnia 12 b. m. wytropiono w kniejach lasu tuszewskiego w mieleckiem ogromnego odyńca, na którego wybrał się z psem znany w okolicy myśliwy i tępiciel dzików leśniczy Maryan Ostafiński. Po niedługiem chodzeniu przyszedł dość blisko do dzika, którego pies atakował i dał do niego dwa strzały. Dzik silnie zraniony rzucił się w szalonym pędzie na strzelca i zanim ten miał czas powtórnie nabić strzelbę, rzucił go z ogromną siłą o ziemię i począł w straszny sposób szarpać kłami nieszczęśliwego człowieka. Lecz Anioł widocznie strzegł Bogu polecającego już ducha, gdyż pies, który z początku przypatrywał się rozpaczliwej walce swego pana z dzikim potworem,

rzuca się na niego i zaczyna szarpać. Dzik napadnięty znienacka z tyłu, odwraca się do psa, gdy tymczasem biedny człowiek miał jeszcze na tyle przytomności i siły, że wstawszy prędko wydrapał się na stojący obok świerk. Tym sposobem wierny pies uratował swego pana od strasznej śmierci, zaś rozbestwiony potwór zobaczywszy, że ofiara wymknęła mu się, zaczął z wściekłością ryć ziemię i gryźć drzewo, na którem siedział nieszczęśliwy, poszarpany kłami rozjuszonego zwierza. Dopiero na słabe wołanie nieszczęśliwego o pomoc, nadbiegli chłopi z siekierami, którzy w pobliżu rąbali drzewo, i odgonili szalejącego odyńca, a nieszczęśliwego odprowadzili do domu.

O nowym gwałcie ruskim donoszą do gazet lwowskich: We wsi Malechowie pod Lwowem znajduje się na gruntach obszaru dworskiego budynek, który przez szereg lat wynajmowany był na karczmę. Majątek Malechów należy do fundacyi, którą zarządza Rada miasta Lwowa. Gdy z końcem roku 1910 upływał termin dzierżawy karczmy, Rada miejska postanowiła tego budynku nie wynajmować na karczmę, lecz na prośbę miejscowego proboszcza rz. kat. oddać go na pomieszczenie czytelni ludowej polskiej, ochronki dla dzieci itp.

Rusinom miejscowym nie podobał się ten zamiar, więc postanowili temu przeszkodzić. Przed kilkoma tedy dniami miejscowy wójt Rusin, Urban, w towarzystwie kilku członków zwierzchności gminnej przyszedł do karczmy i orzekł, że budynek grozi zawaleniem, kazał wszystkie rzeczy arendarza powynosić i budynek zamknąwszy na kłódkę, opieczętował go pieczęciami gminnemi. Stało się to bez przyzwania i zawiadomienia właściciela, późnym wieczorem, a jak opowiadają naoczni świadkowie, po kilkogodzinnym pobycie »komisyi« w karczmie i po należytem jej uraczeniu przez karczmarza, któremu to bardzo było na rękę, że karczma, w której on już nie może dalej pozostać, nie będzie także użyta na inne cele. No, ale znajdą się władze, które potrafią poskromić takie bezprawie.

Co i z jakiej okazyi piją w Rosyi? Pewien uczony Rosyanin tak opisuje pijaństwo w Rosyi: Na wsi piją dziś wódki mniej niewątpliwie, ale zato więcej polityury. Z jednego z odczytów, wygłoszonych na zjeździe lekarskim petersburskim, dowiadujemy się, że w wielu miejscowościach wzmógł się w ostatnich czasach znacznie wyszynk, zarówno tajny jak i jawny, polityury, jako środka odurzającego. Wśród kobiet znowu rozpowszechnia się coraz bardziej spożycie t. zw. »Kinderbalsamu«, jako środka odurzającego. W handlu są nawet dwie specyalne nazwy polityury, do picia i do użytku zewnętrznego.

W Rosyi piją przy powitaniu, piją przy pożegnaniu, piją dla zabicia głodu, piją gdy są syci, dla podniecenia apetytu, piją w czasie zimna, żeby się ogrzać, piją w gorąco, żeby się ochłodzić, piją, żeby odpędzić sen, piją »na spanie«, piją ze smutku, z radości, piją na chrzcinach i pogrzebach, piją, piją... dlaczegóż bowiem nie mają pić, jeżeli »zalać mogą robaka« i zapomnieć o »nieszczęsnej doli«. W gub. orłowskiej »piją ojcowie, matki i dzieci, nie wyłączając niemowląt, którym przemocą wlewają wódkę do ust. A jeżeli dziecko nie daje sobie wlać do ust, oblewają mu bieliznę i pościel, ażeby je zawczasu »zahartować« i do zapachu wódki przyzwyczaić«.

Kopernik o Krzyżakach. W sławnej wszechnicy szwedzkiej w Upsali odszukano nieznany dotąd list Kopernika do króla polskiego Zygmunta, w którym w imieniu biskupa i kapituły fromborskiej skarży się na Krzyżaków. Nazywa ich dosłownie rabusiami i zbrodniarzami. Tacy byli przodkowie dzisiejszych Prusaków!

Zjeżdżanie po desce. W południowych krajach austryackich jak Gorycyi, Istryi i innych, gdzie rodzi się wino, jest zwyczaj w niektórych zasobnych gospodach, że w dniu, kiedy zaczynają szynkować wino z nowego zbioru, a zwykle to bywa w niedzielę, ustawiają na podwórzu czy w ogrodzie ogromną beczkę. Gromadzi się dokoła niej całe towarzystwo bawiące się w gospodzie, wszyscy oczywiście w dobrych humorach, opierają o beczkę z jednej strony gładko oheblowaną szeroką deskę, z drugiej przystawiają drabinkę — i wśród muzyki, śpiewów i śmiechu jeden gość za drugim wychodzi na drabinkę, potem siada na deskę i zjeżdża na dół.



Jak ogromną jest ta beczka daje nam pojęcie obrazek, na którym widać ludzi obok niej. Czy ten zwyczaj jest bardzo ciekawy, osądźcie sami czytelnicy; u nas pierwszy lepszy malec to samo potrafi. Jeszcze lepsze jazdy urządzają sobie nasi chłopcy po strzesze, gdy pod chałupą przypadkiem znajdzie się kupa słomy czy perzu; wybiegają raz po razu po drabinie na kalenicę, a stamtąd jazda w dół aż miło! W innych krajach zaś dorośli podobnie się bawią. Ha, co kraj to obyczaj.

Salomonowy wyrok wydał burmistrz jednego z miasteczek szwajcarskich. Jakiś cyklista przejechał na śmierć gęś, za co właściciel zażądał 6 koron odszkodowania, oddając gęś niefortunnemu cykliście. Ten dawał 4 korony, wyrzekając się gęsi, na co znów nie chciał się zgodzić poszkodowany właściciel. Udano się tedy do magistratu i tu spór został ostatecznie załatwiony w ten sposób, że cyklista zapłacił 4 korony, brakujące zaś do żądanych sześciu 2 korony dopłacił poszkodowanemu, kupując od niego za tę kwotę gęś, burmistrz. I wszystkim stało się zadość. Cyklista umorzył sprawę, tak jak chciał, 4 koronami, właściciel dostał za gęś 6 koron, a burmistrz miał za 2 korony bardzo tanią pieczeń.

Pomysłowy oszust. Niedawno wieczorem do handlarki wiktuałów w Riksdorfie, pod Berlinem, przybył pewien mężczyzna i kupił funt orzechów, płacąc stumarkówką papierową. Handlarka nie dowierzała banknotowi i zrobiła uwagę, czy też nie jest podrobiony. Kupujący oburzył się i oświadczył, że majster jego znajduje się w pobliskiej restauracyi i posiada więcej stumarkówek, jeżeli więc handlarka życzy sobie, przyniesie jej inny banknot. Handlarka zgodziła się na to i gdy ów mężczyzna przyniósł inny banknot, wydała mu z niego spokojnie 99 marek. Później okazało się, że właśnie ten drugi banknot był udany, podobny do stumarkówki, a na nim wydrukowane dla figla: »Kto banknot ten uważa za prawdziwy, ma licho w głowie«.

Wypadek przy zwłokach. W miejscowości Eckeren, pod Antwerpią w Belgii, zgromadziło się 12 osób przy łożu zmarłej krewnej. Nagle rozległ się trzask i wszyscy obecni razem ze zwłokami oraz z całem umeblowaniem pokoju runęli do głębokiej piwnicy. Niemal wszyscy poranili się ciężko. Przyczyną wypadku było przegnicie belek pod podłogą.

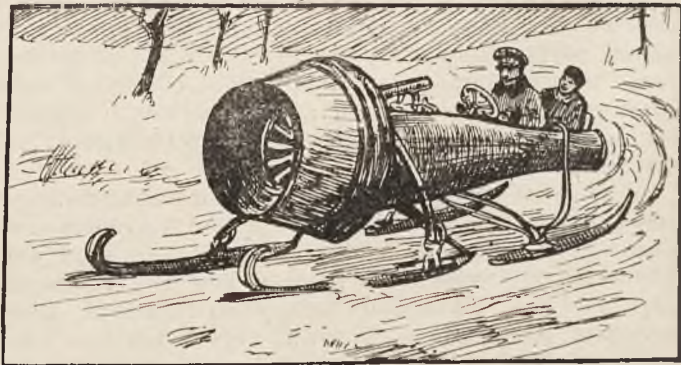
W złotej klatce. W jednej z miejcowości wiejskich Ameryki północnej zwracał uwagę tego lata niezwykły wózek dziecinny, nakryty u góry wysoką klatką, przytwierdzoną do wózka. Pręty klatki były stalowe, grubo pozłacane, a wewnątrz spało sobie spokojnie paromiesięczne dziecię. Jest to córeczka pewnego milionera, która ma ogromny majątek po ojcu odziedziczyć. W tej samej miejscowości bawiło przez lato wiele innych zamożnych osób z dziećmi, żadne jednak takiej »złotej klatki« nie posiadało.



Córeczka owego milionera, ukochana jedynaczka, otrzymała klatkę, jabo zabezpieczenie przed... ukradzeniem. Pewnego bowiem popołudnia gdy ojciec niespodzianie wszedł do pokoju dziecka, zastał schylonego nad jego kołyską, jakiegoś bandytę. Drab widocznie miał zamiar dziecko porwać, a potem na niezmiernie bogatym ojcu wymusić sowity okup. Milioner chciał bandytę ująć, lecz ten dał susa do okna i zniknął. Bojąc się zatem by porwanie dziecka już się nie powtórzyło, poczynił milioner wszelkie środki ostrożności, między innemi sprawił klatkę na wózek, doskonale do niego przytwierdzoną, a gdy niańka z dzieckiem wyjeżdża na przechadzkę, towarzyszy jej nadto jeden lub dwu uzbrojonych służących. — Tak to bogacz, który posiada wiele skarbów w złocie majątkach i fabrykach — strzeże najdroższego swego skarbu — maleńkiej jedynaczki.

Czarna armia. Czterdzieści tysięcy murzynów pała żądzą przywdziania mundurów francuskich. Taką wiadomość przywiózł do Paryża pułkownik Mangin, wysłany do Afryki przez ministerstwo wojny dla zbadania, czy można liczyć na czarnych ochotników. Badania przeszły wszelkie oczekiwania, okazało się, że kolonie francuskie są wielkiem źródłem żołnierzy, przy pomocy którego Francya będzie mogła całkowicie zapełnić ubytki w swej armii, powstałe wskutek zmniejszającej się ciągle liczby urodzin. Większość wodzów murzyńskich oświadczyła z zapałem: »Chcemy bronić Francyi, pójdziemy wszędzie, gdzie będzie potrzeba, walczyć z jej wrogami«. — Takie oświadczenie bez wątpienia pięknie świadczy o zarządzie francuskim w Afryce, który potrafił wśród poddanych wytworzyć uczucie przywiązania do Francyi, ale tem niemniej wojenny zapał murzynów nie jest objawem pożądanym, ani pomyślnym dla interesów ludzkości. Wątpliwem jest, czy potomność będzie wdzięczna Francyi za sprowadzenie do Europy czarnej armii. Za danym przykładem mogą iść inne państwa i w przyszłych wojnach po obu stronach wezmą udział tysiące murzynów. Nie wpłynie to chyba na złagodzenie obyczajów wojennych. Ludy afrykańskie w ogólności nic nie wiedzą o miłości bliźniego, — choć, co prawda, niektóre ludy europejskie także mało co o niej wiedzą. Czytając takie rzeczy, mimowoli przychodzi na myśl pytanie, czy nie lepiej byłoby, aby mocarstwa pomyślały o zaprzestaniu wojen i rozbrojeniu się.

Sanki samochodowe. Bez koni można już teraz jeździć na wiosnę, w lecie i w jesieni w samochodach, które porusza ukryta wewnątrz maszyna — może niedługo będzie można i sankować się w zimie bez przyprzągania koni. Pewien francuski inżynier wynalazł taki ciekawy samochód i odbył na nim zeszłej zimy kilka prób, które się udały.



Obrazek nasz przedstawia, jak te nowoczesne sanki wyglądają. Porusza je, podobnie jak kołowe, samochody, motor benzynowy, tylko nie obraca kół, bo ich niema, lecz śmigownicę, t. j. koło ze skrzydłami jak u wiatraka, które widać wewnątrz podobnego do beczki bez dna przodu sanek. Owo koło obraca się tak prędko, że wywołuje ruch powietrza, które posuwa sanki.

Nie golił się przez 90 lat. W Nasville w Ameryce zmarł na tyfus Ebert Merida, liczący 90 lat, który był znany z tego, że nożyce nie dotykały włosów na jego głowie, a brzytwa nie dotknęła brody. Podobny on był wieeej do człowieka dzikiego niż cywilizowanego, ze swoją do kolan sięgającą brodą i niezwykle długimi włosami na głowie.

Warkocz chiński. Wbrew zbyt pospiesznym doniesieniom całej prawie prasy europejskiej, jak donoszą z Pekinu, najnowszy ukaz cesarski odrzucił wniosek o zniesienie warkocza i oryginalnego wschodniego kroju sukien.

Przepowiednia rabina. Żyje we Lwowie, w dzielnicy żydowskiej stary żyd, (z dawnych lepszych czasów, kiedy niektórzy żydzi chcieli być Polakami). Popiel Samuel, który niejedno też wydał pismo nibyto z przepowiedniami. Otóż teraz wszystkie przepowiednie swe o odbudowaniu Polski zebrał Popiel w jednę broszurę, którą właśnie wydał. Tytuł broszury niezwykły: »Z gwiazd objawienie co do odbudowania naszej polskiej Ojczyzny na wiosnę roku 1912«. Do snucia swych przepowiedni Popiel sądzi, ma prawo, bo na »tajnym soborze kabalistów żydowskich«, jak sam pisze, który się odbył w Bazylei w dniach 23 oraz 24 lutego 1910 został mianowany »pierwszym postępowym rabinem cudotwórcą«. Popiel powiada, że miał objawienie o odbudowaniu Polski w roku 1912. Zdaniem jego, to objawienie »zostało stwierdzone przez starobiblijnych proroków Bileama i Daniela, przez Apokalipsę, przez księgi święte do Koranu (księga święta mahometan), przez jasnowidzących fakirów indyjskich« (kapłani indyjscy). Wedle przekonania Samuela Popiela największym geniuszem politycznym świata jest cesarz japoński, bo w ciągu 30 lat »zrobił Japonię najpotężniejszem państwem na świecie«. Z cesarzem japońskim złączy się »Francya pod cesarzem Ludwikiem Napoleonem Bonapartym, a przeciwko nim wystąpi cały świat chrześcijański. Dla powstrzymania nawały japońsko-francuskiej zjednoczony świat chrześcijański odbuduje z największym pośpiechem Polskę«. A stanie się to na wiosnę roku 1912. Zobaczymy!

Cesarz Wilhelm skłania się do katolicyzmu! Pozasłużbowy kapitan korwety, Kopellow, ogłosił broszurę, w której pisze, że głównie cesarz Wilhelm i jego stosunek do religii protestanckiej wpłynął na to, że Kopellow wystąpił z Kościoła protestanckiego. Kopellow służył przez dłuższy czas jako oficer na okręcie, którym zawsze pływa cesarz, i miał sposobność widzenia, w jaki sposób zachowuje się cesarz Wilhelm w niedzielę. Kopellow twierdzi, że cesarz Wilhelm osobiście nie wierzy w protestantyzm i tylko całą siłą woli zmusza się do wierzenia w zasady nauki protestanckiej, ponieważ w przeciwnym razie, gdyby odpadł jawnie od Kościoła protestanckiego, zachwiałoby się całe stanowisko dynastyi i monarchii w Prusach. Kopellow twierdzi dalej, że cesarz niemiecki w głębi duszy nie wierząc w protestantyzm, na zewnątrz zbliża się coraz bardziej do Kościoła katolickiego, ponieważ służba kościelna katolicka pociąga coraz bardziej ku sobie cesarza. Tak powiada ten oficer marynarki, ale nie wiadomo, czy mówi prawdę, czy też tylko mu się tak przywidziało.

Ogromny szpital. W Wiedniu buduje się obecnie szpital, ufundowany przez miasto z okazyi 60 rocznicy wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa. Szpital ten stanie w Lainz kosztem przeszło 11 milionów koron. Olbrzymi szpital lainцki będzie miał ośm oddziałów o 9077 łóżkach. Ogółem będzie w nowym szpitalu 42 sal i 54 pokojów dla chorych, 13 sal lekarskich ordynacyjnych, 18 pracowni naukowych, 4 ambulanse itd. Służbę przy chorych będzie pełniło 110 Sióstr Miłosierdzia. Wielkie podwórze przeznaczone jest dla chorych, każdy z oddziałów ma swój osobny ogród.

Odpowiedzi Redakcyi.

Adam Jesionek w Ch.: Dziękujemy za życzliwość. Czekamy na wiersz, zobaczymy. Kalendarz się Panu należy, pójdzie. — Jan Kraus w J.: Dziękujemy! — Jakób Bieniak w O.: Już zapóźno zmienić, musi iść jak idzie. — Szczepan Mikuła w K.: Z dołu nie można. Proszę przysłać, pójdzie wszystko od 1 numeru. — Józef Gąsior w Str.: Półroczników nie wysyłamy, tylko roczniki. Kosztuje 3 kor. nieoprawny, 4 kor. w pięknej oprawie. — Klemens Guła w B.: Reklamacya usprawiedliwiona, kalendarz pójdzie. Jan Masłowski w R.: Posyłamy, proszę dotrzymać słowa! — Adam Sokołowski w S.: Kalendarz pójdzie, nie mieliśmy podanego drugiego adresu. — Stanisław Lubas Dobrze, pójdzie. — Jan Marmon w L.: Był wysłany 17 grudnia. Reklamujemy. — Kazimiera Totosiówna w P.: Właściwie kalendarz Pani się nie należy, bo Pani nie przysłała 30 hal. w oznaczonym terminie, ale wyjątkowo wyszlemy go, ale oczywiście ten dodatkowy, bo pierwszego już nie mamy. — Michał Kot w P.: Ma Pan numer 2379, tak było w spisie, więc o co chodzi? Zresztą teraz, po losowaniu, numery nie mają już znaczenia. — Siatkowski Franciszek w N.: Numer 3670, zatem wygrał Pan książkę do nabożeństwa. Kalendarz poszedł 30 grudnia. Proszę reklamować na poczcie. — Łukowski Stanisław w W. R.: Do 15 b.m. 55 hal. nie otrzymaliśmy. Gdy nadejdą, książkę wyszlemy zaraz; dziękujemy za pochwały. Zagadki pójdą — Jan Surma w M.: Oba kalendarze poszły. — Proszę się upomnieć na poczcie. — Józef Kobylański w L.: Wierszyki otrzymaliśmy. Prace nadsyłane chętnie drukujemy o ile są dobre. W Pańskich wierszach są jeszcze usterki, których należy unikać. Każdy wiersz musi mieć rym i rytm, a tego ostatniego Pan zbyt nie szanuje. O pisaniu wierszy można pouczyć się w różnych podręcznikach, choć najlepszym doradcą jest prawdziwy talent. — Michał Szelest w T.: Obydwa utwory otrzymaliśmy. Umieścimy je wkrótce. — Stanisław Łyszczarz w J.: Winę poczty naprawiliśmy. — Władysław Kisała w K.: Przecież i tak dobrze oprawić. — Jadwiga Kobylańska w B.: Dobrze. — Stanisław Stodolak w L.: Prenumerata była potwierdzona pod numerem 2514. — Jan Golec w Cz. D.: Aby adres zmienić trzeba przysłać 40 h. a oprocz tego podać dawny adres, gdyż my znaleźć nie możemy. — Czytelnicy z Sułkowszczyzny: Listów niepodpisanych z reguły nie czytamy. — Władysław Bara w S.: Dobrze, pójdzie.— Antoni Kościelny w K. w. Adres zmienimy, gdy Pan poda dawną pocztę, dokąd »Rola« idzie. — Wojciech Żak w P.: Listy naszych przyjaciół nigdy nas nie nudzą. Łączymy pozdrowienie. — Michał Głowacz w M.: Cieszy nas, że się Maciek tak podoba, choć i on ma nieprzyjaciół. Mimo to on sobie zawsze będzie Maciusiem i tylko Maciusiem. — Wojciech Wąchal w P.: Dobrze, wyślemy.— Michał Strachocki w S.: Wysyłamy regularnie wszystkim co czwartek. O co idzie? — Władysław Kośmider w H.: Dziękujemy bardzo. Maciek ucieszył się. — Michał Sassak w C.: Numer 2713. Nic nie wygrane. — Franciszek Sikora w F.: Dziękujemy za zjednanych. Wysyłamy. — Antoni Hydzik w St. M.: Możemy pokazać na miejscu, w redakcyi, bo mamy tylko jeden egzemplarz. Jeżeli Pan chce odpisu notaryalnego, prosimy przysłać 10 kor., bo tyle kosztuje, wtedy poślemy. — Jan Nuckowski w L.: Kalendarz się Panu nie należy, bo Pan nie prenumeruje od nas, ale jeśli nam jaki zostanie, to poślemy na końcu. Prosimy zgłosić się w końcu stycznia.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłali PP.: Walczyk Franciszek z B., Stach Wincenty z D., Drajewicz Fr. z K., Schnell Oskar z F., Kuchta Antoni z L., Janiczyk Piotr z L. w., Bieszczad Michał z N., Massalski Tadeusz z K., Poradzisz Anna z K., Kowalczyk Józef z S., Przychocki Ignacy z Ł., Ciołczyk Jan z C., Tomaszczyk Jan z Z., Piotrowski Franciszek z B. m., Sierak Szczepan z N., Bronikowski Stanisław z M. sz., Plebanczyk Gabryk z U. s., Zaczyński Jan z T., Starostka Stanisław z R., Borek Tomasz z K., Kółko rolnicze z N., Rażny Maciej z D, Sendyk Bartłomiej z P., Cieślewicz Józef z W., Marya Siara z K., Wolański Jędrzej z K., Kółko rolnicze z M., Sobczyk Jan z B., Bogdalska Anna z L., Nowak Jędrzej z M., Kamiński Józef z D., Drzystek Wojciech z G., Grzesik Franciszka z J. m., Lorenz Franciszek z K. w., Dziubecki Łukasz z E., Dziumaga Stefan z H., Grzywa Jan z B., Soliński Andrzej z J. p., Sroka Stefan z M., Ks. Tomasz Frankiewicz z Ż., Niezabitowski Szczepan z S. k, Filar Tomasz z D., Niezabitowski Stanisław z U. (8 k.), Wadas Wojciech z L., Goryl Józef z S., Gorayski August z M. (8 kor.), Łodziak Franciszek z D., Czekaj Jan z P., Ks. Emanuel Dziewior z O., Andrzej Misiaszek z H., Sypek Michał z W. g., Rudolphi Adam z B. sz., Malinowski Benedykt z K., OO. Reformaci z K., Gietz Ignacy z G., Łacki Jan z O., Katolickie stow. górników i robot. z T., Chrobok Józef z N. K., Długosz Jan z S., Dzida Jan z B., Łagosz Jan z K. m, Górszczyk Stanisław z P. Byrtus Józef z J., Wankowicz Andrzej z H., Siedlaczek Jerzy z D. L., Krzemiński Jakób z K., Niemiec Jan z N. T., Rajda Józef z W., Niemiec Stanisław z R., Wacławik Sebastyan z O., Koczwara St. z R.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Stańczyk Jan z Sz., Biedroń Józef z P., Józef Strasser z Cz., Sulczewski Antoni z P., Kisała Józef z A., Cieślik Franciszek z K., Józef Seweryn Kołaciak z O., Jan Łaskawski z G., Antonina Łyżnicka z H., Ciepiela Jędrzej z B., Skulich Jan z D., Niedziałek Franciszek z B., Gąsawski Andrzej z R., Pelc Michał z R., Kamiński Jędrzej z T., Woźniak Jędrzej z S., Bochnak Marcin z R., Szewczyk Feliks z R, Kiełbasa Józef z U., Goldberg Maks. z K., Biel Józef z O., Porzycki Ludwik z K. z., Gazda Jędrzej z Cz. Tomala Karol z S., Górecka Katarzyna z P., Fejkiel Franciszek z K. w.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.: Bik Stefan z R., Kielian Franciszek z R. w., Gołojuch Andrzej z D., Fryc Jan z W. B., Florek Stanisław z R., Zabijak Michał z B.,

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 17 stycznia:

Buhaje	Kor.	250	do	400	za sztukę
Woły	„	200	„	300	„
Krowy	„	100	„	300	„
Jałówki	„	100	„	216	„
Cielęta	„	30	„	75	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	130	„	146	za 50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 17 stycznia:

Pszenica	Kor.	10·10	do	10·60	za 50 kg.
Żyto	„	7·35	„	7·65	„
Jęczmień	„	7·50	„	8·—	„
Owies	„	7·65	„	8·—	„
Otręby pszenne	„	4·75	„	4·90	„
Otręby żytnie	„	4·60	„	4·65	„

Zagadki do nagrody.

1. METAGRAM.

(Nadesłał Franciszek Kelner z P. L.).

Przez **c** nazwisko polskiego kanclerza!
Przez **d** jest rzeką w ojczyźnie papieża;
Przez **n** to bóg jest przez Greków wielbiony;
Przez **s** jest między stroje policzony;
Przez **t** wymiarem był okrutnej kary;
Przez **n** to kraj jest w królestwie Nawarry;
Przez **w** ptak piękny, lecz śpiewać nie może;
Przez **ż** zaś bywa na królewskim dworze.

(Uwaga: Wyszukać zgłoskę, do którejby dodane poszczególne litery dały odpowiednie znaczenia).

2. ZAGADKA.

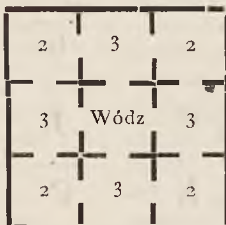
(Nadesłał Wojciech Sz. z D. m.).

Anastazy mistrz liczby pod tym głazem leży,
A tu liczba lat jego w zagadce ukryta:
Z tych część szósta w dziecięcej swawoli [przeżyta,
Dwunasta w gronie męzkiej spędzona młodzieży,
W końcu siódmej części poślubił towarzyszkę [sobie,
Ta w lat pięć po weselu syna mu powiła,
A syn, gdy mu połowa ojca lat wybiła,
Co miał ojciec u kresu, legł zawcześnie [w grobie,
W lat 4 ojca pogrzebała tęsknota.
Przechodniu, zgadnij liczbę lat jego żywota.

3. ZAGADKA.

(Nadesłał Józef Szocik z D. m.).

Jest zamek o dziewięciu pokojach. W tym zamku znajduje się wódz nieprzyjacielski uwięziony, a 20 żołnierzy postawiono obok niego na straży. W środkowym pokoju, w którym jest wódz, znajduje się czworo drzwi. W którychkolwiek drzwiach stanie wódz — widzi przed sobą jeden pokój środkowy i dwa narożne. Otóż rozkaz był żołnierzom dany taki, aby w ten sposób się rozdzielili po pokojach, aby z każdych drzwi wódz widział ich zawsze siedmiu. Żołnierze rozdzielili się w następujący sposób:



Ale oprócz tych 20 żołnierzy było jeszcze 4 innych trzymających straż na dworze. Z powodu jednak silnego mrozu poszli i ci do zamku się zagrzać. Rozłożyli się jednak tak dowcipnie, że chociaż ich było 24 wódz z każdych drzwi widział ich znowu tylko 7. Lecz nie dość na tem! Gdy ci czterej zagrzali się w zamku, zabrali ze sobą jeszcze czterech żołnierzy, tak że w zamku zostało tylko 16, ale ci rozłożyli się znowu w ten sposób, że wódz zawsze widział po 7 żołnierzy. Otóż pytanie, jak się dzielili za każdym razem po pokojach?

4. ZAGADKA.

(Nadesłał Jan Płodzień z Ch.).

Który z królów polskich był jakby z drzewa i jakby ze skóry?

* * *

Za dobre rozwiązania przeznaczamy, w nagrodę:

1) ***Hektor Serwadok*** powieść w 2 tomach.
2) ***Z czasów Bolesława Chrobrego.***

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 28 stycznia 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 2 *Roli*: 1. Szarada: **Warna**, 2. Szarada: **Wincenty**, 2. Zagadka: **Arbuz-żubr**.

* * *

W oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.: Michał Kołodziej z L., Jan Płodzień z Ch., Józef Szocik z D. m., Wojciech Szocik z D. m., Franciszek Kelner z P. L., Józef Gadzicki z O., Władysław Witek z S., Michał Gaweł z K., Bronisław Wójciak z N., Władysław Dziwisz z W. r., Michał Strachocki z S., Franc. Teper z M. K., Eugeniusz Oczkowski z G., Jan Partyka z O. T., Michał Dudek z Ż., Kaz. Kowalski z K., Agnieszka Buszydlik z W., Józefa Hirszberg z K.. Ludwik Misiora z B., Mikołaj Wyżykowski z R., Wł. Dubaj z J. p., Jan Iwański z T., Jan Śliwiński z B., Jakób Śmietana z Ł., Andrzej Irecki z G., Jan Ratyński z M., Zofia Oraczewska z Ż., Jan Filipiak z T., Warchoł Adam z Z., Piotr Gajoch z P., »Wisła« lud. tow. wzaj. ubezp. we Lwowie, Tadeusz Rąpała z J., Ktoś niepodpisany z Nowychdworów, Jakób Kassolik z P., Jakób Paff z Ch., Franc. Czaja z B., Franc. Bieniek z K. g., Jan Szybowicz z S., Bronisława Baranowska, Michał Stożek z Z., Michał Pietryka z B., Adam Jesionek z Ch., F. Tercha z B., Jan Marmon z P., Jakób Tomasik z T., Czytelnia polska w Dol., Stanisława Kowalska z K., Adela Bezokówna z K. m., Kazimierz Szeliga z B., Mikołaj Wielkiewicz z N. T., Fran. Stec z K., Babula Jan z W., Jan Łopatka z J., Zygmunt Bogdański z J., Józef Pawełek z O., Izydor Spisak z R., Barbara Siwkówna z G. S., Jan Bassara z D., Wojciech Barcik z R., Piotr Sendyk z P., Władysław Kisała z K., Jadwiga Kobylańska z B., Karol Baron z P., Żebrok Franc. z B.

* * *

Pierwszą nagrodę p. t. ***Pan Tadeusz*** wylosował p. **Michał Kołodziej** z L.; zaś drugą p. t. ***Mściwój II* — Czytelnia polska w Dolinianach.**

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.